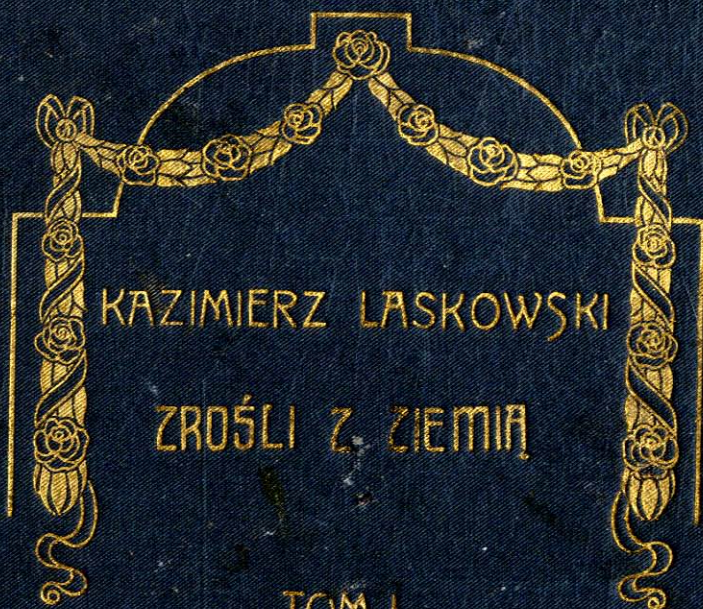


- CIEKAWY POWIEŚCI -



KAZIMIERZ ŁASKOWSKI

ZROŚLI Z ZIEMIĄ

TOM I

□ WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

5

ZROŚLI Z ZIEMIĄ.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 6 □ Czerwiec 1913

ZROŚLI Z ZIEMIĄ. Tom I.

Redaktor: □ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). GEBETHNER I WOLFF.

KAZIMIERZ LASKOWSKI

∇∇

ZROŚLI Z ZIEMIĄ

O P O W I E Ś Ć

Tom I.



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1913



71349/1

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

K-22/27/77700

Kazimierz Laskowski w poezji polskiej był zjawiskiem niepowszedniem. Do liryki współczesnej, przesyczonej smutkiem, goryczą i zniechęceniem, wniósł swobodę, beztroskę i wesołość wiejskiego śpiewaka.

Ten szczery ziemianin, „brat-szlachcic“, zanikającego już typu, na bruku miejskim czuł się nieswojo. W duszy jego mieszkała wieś polska. Nie zapominał o niej nigdy. Ona dzwoniła w jego piosnkach.

W dobie kultu dla sztuki, w dobie wyrafinowanej formy, brzmiały te piosnki prosto, ale było w nich tyle melodyi, tyle uczucia dla ziemi, tyle rzewnego miłowania rzeczy swojskich, że szedł z nich blask słońca. Szedł i trafiał wszędzie. I dlatego o Laskowskim, jak o nikim innym, powiedzieć można, iż rozumiał i kochał go cały naród. Nie było bowiem zakątka w Polsce, gdzie nie dotarłaby jego śpiewka.

Jeżeli idzie o ogólną charakterystykę poety, to ujął ją najtrafniej i wyraził w krótkich, zwięzłych słowach Kazimierz Tetmajer, podkreślając werwę, rozmach, za-

maszystość, łatwy śmiech, łatwą łzę, chłopski rozum, miękkość, tkliwość, nawet cikliwość El-a.

„Gdzie się pokaże kochany nasz sąsiad pan Kazimierz — pisał — albo wzruszy albo zabawi, albo coś dobrego w zajmującej formie poda, dowcipem błysnie, ugryzie — ale cię nie boli, wykpi — ale się śmiejesz, a w duszy ci zadzwoni, coś ci takiego w sercu zagra, że to niby ty sam w niem grasz, tylko, że bez Laskowskiego — by tej muzyki nie było... I gdzież, co jakie polowanie, chrzciny, ślub, srebrne wesele bez niego warte? Wina najlepszego, tokaju na powitanie takiego gościa w progu domu. Dusza polska, ta dawniejsza, ta szlachecka, wchodzi w dom z panem Kazimierzem. Ale jest pan Kazimierz i „Statystą“. Przyjdą ważne chwile, ważne momenty: jak pięknie, jak trafnie, jak wstrząsająco umie nieraz mówić. Jeżeli wtedy łza mu w oku zaświeci — to jest to łza obywatela, patrioty wiernego, dzielnego syna ojczyzny. Kocha swój kraj Laskowski nad wszystko, kocha jego bóle i cierpienia, jego klęski i srogi los, kocha bez krytyki, bez zastrzeżeń, bez uragań, kocha — bo jest syn. Patriotyzm Laskowskiego jest czysty i szlachetny. U niego Polska jest ponad wszystkim. Może to zacieśnia jego horyzont, może odbiera mu zdolność odczuwania i rozumienia tego, co jeszcze poza Polską jest na świecie, może stąd pochodzi obcość Laskowskiego dla wielu idei i obcość tych idei dla niego: ale ten jego gorący, czysty, prawdziwy patriotyzm płaci za wszystko“.

Jest w tych słowach poety, piszącego o poecie, wszystko. Niepodobna tu już nic dodać, nie można nic z tego ująć. To jest cały Laskowski. Takim przejdzie do

historii poezji polskiej, która twórczość jego, płynącą z duszy i z serca, zachowa, jako ostatni może akord poezji szlacheckiej, dźwięczący na przelomie czasów.

Pomimo bowiem wyraźnego demokratyzmu i sztandarowego wysuwania sukmany chłopskiej, tej białej, tradycyjnej sukmany krakowskiej, na plan pierwszy, cały światopogląd El-a był szlachecki.

Wyrzucony na bruk miejski, poeta nie przestał być ani na chwilę ogorzalym „hreczkosiejem“, który spór toczy z arendarzem, śmieje się ze „swojego“ żyda, ale obejść się bez niego nie umie, zboże na pniu sprzedaje, konie z sąsiadami wymienia, pełen jest trosk i kłopotów i jedną ma tylko chwilę szczęśliwą, kiedy rankiem lub w odwieczny wyjście przed dom, oczy dłonią przysłoni i spojrzy ku wsi, ku chatom bielejącym wśród zieleni, ku rzece, nad którą pochyłe wierzby rosną, ku borom, zamykającym siną obłóczą widnokrąg, i ogarnie wzrokiem kochającym ten szmat ziemi-rodzicielki. Zagadają wówczas do niego drzewa, wiatr mu przyniesie powiew od łąki kośnej, gdzie ludzie klepadłami dzwonią, zaćwierkają mu wróble pod gankiem i duszę wypełni słodki spokój i wielka miłość. A kiedy zagnała odezwą się skrzypki wiejskie i przywtóruje im basetla, a ozwie się nuta ulubionego krakowiaka — gotów jest, jak na dożynkach, pierwszą z brzegu dziewczuchę wpół chwycić i obrócić ją w tańcu aż do oszołomienia...

Jest w tem niewątpliwie i wielka poezja. Jest także polski, rasowy temperament, nie zepsuty żadną domieszką krwi obcej, związany nierozzerwalnym węzłem z ziemią.

Na wskroś polską, rasowo polską, ze wszystkimi wadami rasy i ze wszystkimi jej zaletami, była dusza Laskowskiego. Ta jej polskość sprawiła, że popularność poety przekroczyła znacznie granice zwykłej popularności literackiej i zjednała poecie rozgłos.

Głośne były w całej Polsce śpiewki El-a, niewyczerpanego w pomysłach, śpiącego, jak z rękawa melodye, bez trudu, bez mozolu, na nutę wesołą i na nutę poważną. To, co w innych jest robotą, sztuką wypracowaną, techniką, zdobywaną latami, u niego wylewało się odrazu w formie gotowej, dźwięczało, śpiewało, grało blaskami i barwą wsi polskiej, samo, bez żadnego wysiłku, Zdawało się, iż Laskowski myśli wierszem, że wszystko w nim śpiewa i dzwoni.

W liryce jego były jednak i tony głębsze, były także i tony niezapomniane. Potrafił on czasem uderzyć w strunę mocną i wydobyć z niej ton przejmujący. Wystarczy przypomnieć wiersz p. t. „Chrystus“.

*

*

*

Na czele „Wyboru“ swoich poezyi, wydanych w sześciu tomach w r. 1909, położył Laskowski wiersz, poczynający się od słów:

„Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone...“

I oto przyszła chwila, kiedy ten wiersz El-a narzuca się przedewszystkiem pamięci. Tak. „Będzie mi policzone“ wszystko uczucie, które miał dla tej ziemi, będzie mu policzona ta gorąca miłość dla rzeczy swojskich, to ciche zadumanie u mogił i krzyżów przydrożnych, których nie mijał nigdy obojętnie. „Będzie mi policzone“ to, że „chodził po swojej drodze ku chmurom czy do słońca — i swoje ziarno zawsze siał na swoją bliską rolę“ (t. III, str. 97).

Niech śpi spokojnie, pewny, że na ziemi polskiej nie zbraknie kwiatów „polnych i łąkowych“, które rozkwitną i rozbarwią się na jego mogile.

Z. Dębicki.

I.

„Le signe d'une âme grande et forte
est de savoir tirer à l'exemple de Dieu le
bien du mal“.

O. Didon.

Było to w styczniu, w tych dobrych dla rolnictwa czasach, kiedy na rynku gdańskim popłacała pszenica. Pomimo przelomu agrarnego, dostatek trzymał się jeszcze strzech ziemiańskich; życie towarzyskie kwitło, a stosunki sąsiedzkie, starannie pielęgnowane, spojone węzłem szczerej gościnności, rozbrzmiewały w pobielanych ścianach wiejskich dworców ochoczością przyjęć i zabaw, jedyne ujęcie dla szlacheckiego animuszu, zamkniętego w ciasnym kole spraw powszednich.

Zawsze mile sercu „Gość w dom — Bóg w dom“ było przykazaniem, którego nikt nie ważył się naruszyć. Nie sadzono się na wystawność, ale podejmowano gościa z duszy serca czem chata bogata. „Szlachcic był kontent, gdy miał wiele gości, na klęczkach prosił, by jedli i pili...“

Po dwudniowej zadymce wypogodziło się, przetarło, ucichło. Mróz trzymał, wyjrzało wyiskrzzone słońce, gorząc miryadem refleksów. Zsuwały się złote promienie

po modrym nieboskłonie, tonęły na chwilę w rąbkach obłoków, płynących gdzieś w przestworzu, i biegły dalej aż ku ziemi, rozwieszając po drodze lunę brylantowych blasków. Opowita siecią migotliwego światła biel śniegów lśniła tęczą barw i połysków.

Cicho było, spokojnie w okół. Pola i lasy spały, przykryte białym całunem, czasem tylko gięte okiścią konary drzew zaskrzypiały żałośnie, zakrakalo przelatujące stadko zgłodniałych wron, zaćwierkał rzewnie skryty w krzaku tarniny wróbel, jakby się żalił na zimę, na srogą... Niekiedy zrywał się jeszcze zapóźniony nie-dobitek wichrów i, nurzając się w powłoce śnieżnego pyłu, macił głuchym poświstem ciszę przyrody. Przelatywał w płasach, podskokach z pola na pole, z załomku w załomek. To przysiadł w przelocie na wystającym grzbiecie zagonów, to się za krzakiem przyczajał, to, chwyciwszy lejem wiru garść śniegu, pędził przed siebie tumanem, póki obezwładniony ciężarem łupu w zaspie przydrożnej nie zapadł.

Ponad wioskami unosił się mgławcy opar, z kominów chat strzelały ku niebu słupy błękitnego dymu, rozbrzmiewał w ciszy pogwar ludzkich głosów. Czasem kundel podwórzowy zawył przeciągle, zaryczało było pędzone do wody, zaskrzypiał żóraw studzienny.

Gromadka włościan z Prońska z sołtysem na czele szła, brnąc po pas w śniegu, w wiejskie opłotki na szarwark. Zadymka wszystkim dała się we znaki.

Wichura pozrywała kalenice, pozadzierała strzechy, zamieć wcisnęła się szczelinami pod dachy domostw i sto-dół; z chałupy do chałupy trudno się było przedostać,

a za wieś wyjechać prawie niepodobna. Zniknęły bez śladu pola i ścieżki, jak sierpem rzucił — wszędzie białe i białe, a śnieg na łokieć głęboki.

Nakazano szarwarkiem zaspę rozkopać. Sołtys z Prońska zwołał świtkiem gromadę i szarwark zapowiedział. Jaki taki radby się był wymówił, ale nie było rady. Wójt kazał, a i dziedzic przysyłał, żeby koniecznie do południa drogę przekopać, bo goście z wesela rozjeżdżać się mieli.

Poszli, gwarząc po drodze i utyskując.

— Nie marudzić! nie marudzić, chłopcy! — zachęcał sołtys — szarwark, czy dziś czy jutro, nie minie, odrobić trza. Śnieg nie zmarznięty, to robota polecą.

Dotarli do opłotków, gdzie zawierucha całe sterty śniegu naniosiła. Chłopi, podrapawszy się w głowę, jęli łopatami śnieg rozrzucać. Szło im jednak niesporo. Widocznym było, że pracują bez przekonania, bez ochoty. Jeden na drugiego spoglądał, ociągając się i przystając raz po raz.

— Mnie się widzi, sołtysie — odezwał się po chwili jeden ze starszych — że to wszycko na darmo. Przydzie kurzawa i do jutra z kretešem zadmie, a ze dwora pewnikiem i dziś nie pojadam. Stary dziedzic, ja go znam, lubi hulać, to gości tak łatwo nie puści...

— Wasza prawda, kumotrze! jeszcze z wesela — potaknął drugi, tłukąc dłońmi oburącz po kozuchu dla zagrzewki. — I wczora gadali, że już... nawet furmanów z karczmy zwołali...

— Albo im to źle! — podchwycił trzeci. — Pe-

dała mi Magda, co jest przy kucharzu, że samego mięsiwa toby na dwie niedziele starczyło...

— I jak!

— Zabili opasa...

— Dwie roczne jałowice; brat bratu po pięć dukatów wartaly.

— I z miasta różności nawieźli, a na polowaniu mało to wszelakiego zwierza natłukli! Wiem dokumentnie, bom przecie na obławy chodził — przedstawiał młody parobczak, a nasłuchując ku dworowi, dodał:

— Grajom! Po mojemu, po próznicy będziewa kopać. Skoczmy lepiej pod dwór popatrzeć na te dziwy...

— Nie bałamucić, bajduło! — odburknął sołtys — pojadam... nie pojadam... nie wasza rzecz. Drogi tak ostawić nie można. Jeszczeby, nie daj Boże! kto zagrzał trafunkiem, abo zamarzył w zaspie, i gotowy kłopot dla mnie, dla urzędnika. Nie spirajta się, ino kopta. Dziedziec obiecał gorzałki, jak się sprawiewa dobrze. No, żwawo za łopaty! Byle sanie przeszły, reszta bajki!

Przemowa sołtysa i wzmianka o poczęstunku po skutkowały.

— Ha! jak trza, to trza — odezwno się z rezygnacją w gromadce.

Zarzegotały rydle i łopaty, posypały się zbrylone grudki śniegu w lewo i w prawo.

Zaspa zmalala.

— Żeby jeno do figury przetorować, to dalej choćby polem objedzie — zauważył któryś z włościan, przostając krzyża.

— Co nie ma objechać! Jeszcze takimi końmi — potaknięto.

— U młodego konie jak smoki!

— Ba! ba! bo go to nie stać?...

— Siarczysty szlachcie!

— Ludzie go sobie chwalom, niezły jest, a wyrozumiały dla każdego, ino prędki jak ogień...

— Lepszy taki, niżli nurek, co słodko gada, a chyłkiem człekowi dopieczę.

— Pewnie... pewnie — potwierdzono jednogłośnie.

Robota szła teraz żwawo, pogawędka nie ustawała. Włość interesowała się dworem i po swojemu oceniała jego sprawy. Wesele najmłodszej córki dziedzica, będące w jakimś związku z szarwarkiem, było u wszystkich na ustach.

— Służyłem wtedy przy stangrecie — opowiadał Grzela Kruk — kiedy pierwszy raz Kościeszowski dziedziec zajechał. Dworscy zaraz mówili, że to do panienki...

— Pono go z razu nie chciała...

— Dyć! pono ociec dopiero przykazał...

— Nie chciała, nie chciała!... Taki już u nich zwyczaj, wszyęko zwolna... pańskie konkury!

— Bez mała dwa lata jeździł...

— Akurat na Trzech Króli — dorzucił świadomy dworskich obchodów Grzela.

— Oj, gęby, gęby! Plecieta, nie wiadomo poco. Dwór dworem, a chłop chłopem — wtrącił sentencyonalnie sołtys. — Jeździł, ale wyjeździł... Kopta lepiej, bo ano słonko się skreca.



— Już wam i gadanie za przeszkodą! Przecie nie stojewa, a milej człekowi, gdy ludzkie słowo słyszy.

— No, to gadajta. Nikt nie broni, jeno nie plećta od rzeczy, bo ja od samego wójta wiem, jak było.

— No! ciekawa rzecz! powiedzieź! — prosili chłopci.

— Kopta, kopta! to rzeknę słowo... Młodzi dawno mieli się ku sobie, jeno ludzie bróździli, a nasyłali co-raz to inne swaty — opowiadał soltys.

— Pewno, że bróździli. Mało się to kawalirów prze-winęło, a każdy miał oskome. Choćby na ten przykład Pękosławski dziedzić...

— Ale panna ani słuchać nie chciała — opowiadał, rozgadawszy się, soltys — jeno do Kościeszowskiego lgnę-ła, choć ludzie o nim cudenka gadali: że utratny, jeno za zabawą a uciechą goni, a gospodarki nie pilnuje.

— Kiej nieprawda! poszukać takiego obrzędku, jak w Kościeszówce. A że i zabawę lubi, to co! od tego młody.

— To się wie. Ale ludzie tak gadali, a donosili; dopiero jak nasz dziedzić spenetrował, przyzwolił...

— Aha! to tak było.

— A tak — potwierdził soltys. — Świadomo wój-towi.

— To i dobrze, że się pobrali, kiej się mieli ku sobie.

— Wszystko byłoby dobrze, żeby nie Żydy...

— Nie turbujta się. Wie nasz stary, co robi, nie trza go rozumu uczyć. „Młody“, choć sporo Żydom wi-nien, zawdy bogacz! Kościeszówka... trzy folwarki, a i lasu szmat.

— A „nasz“ ma grosiwo. Pewnikiem zięciowi nie poskapi, córkę wywianuje, a Żydów opłaci...

Tak gawędząc, rozkopano kawał drogi. Do figury, od której zaczynała się polna równina, było już nieda-leko, gdy na skřęcie od dworu ukazały się czworokonne sanie.

— Jadom! jadam! śpieszta się! — zaczął przynaglać soltys.

Poruszyły się żwawiej rydle i łopaty, ale po chwili stojący na górcie parobczak rozwiął wzniecony zapal.

— To nie „młodzi“, bo bez jańczarów — zau-ważyl.

— Przywidziało wam się, soltysie. We dworze jeszcze grajoni — dorzucił drugi, nasłuchując.

— Kiedy jechało...

— Walkowa fornalka! poznałem po lysej kobyle! — wykrzyknął z tryumfem Grzela dworus. — Pewnie wy-słali ze dworu na wywiady, czy przejedzie.

W przekopanym parowie ukazały się parskające lby końskie, jakby na potwierdzenie słów Grzeli. Była to istotnie Walkowa fornalka, wysłana przodem dla prze-torowania drogi. Duże, ciężkie płozy ryły w pierzastym śniegu, zostawiając lśniący ślad za sobą. Z koni buchala para i osiadała szronem na grzywach.

Z sani wyskoczył dworski wyrostek. W jednej ręce trzymał duży gašior wódki, w drugiej koszyk z przeką-skami. Był to przyobiecany poczęstunek.

— Wojciechu! — zawołał, zwracając się do solty-sa — dziedzić przysyła. Trzymajcie...

Chłopi, wbiwszy łopaty w śnieg, skupili się w okół przybyłych, pytając z ciekawością:

— A cóż, pojadam?

— Już konie zaszły, tylko patrzeć — objaśnił kredensowiec, przepijając do sołtysa.

— W wasze ręce...

— Bóg zapłać! Najlepszego.

Kieliszek poszedł z rąk do rąk. Przymówił się o „swój” i Walek. Kropnął kielich gorzałki i ruszył zwolna przez niedokopaną jeszcze zaspę. Wyrostek z opróżnionym koszykiem i pustym gąsiorkiem pobiegł pędem ku dworowi dać znać, „że już przejedzie“.

. :

W prońskim dworze już trzeci dzień hulano na zabój.

Prońsk słynął z gościnności, bawiono się tam zwykle dobrze. Krażyło nawet po okolicy przysłowie: „Dobrze, jak gościowi w Prońsku“. Radca Kwiryn Proński, wielki hulaka za kawalerskich czasów, i na stare lata zabawą nie gardził, a podejmował z całego serca.

Kiedy przeto wieść o zaślubinach najmłodszej radczanki, „panny Jadzi“, z Krzysiem Oźgą gruchnęła po okolicy, zjechało na weselisko pół powiatu krewniaków i znajomych stron obu, raz przez niekłamana życzliwość, powtóre z wielkiego zaciekawienia, jakie ten maryaż budził.

Panna Jadwiga, śliczna, o piwnych oczach blondynka, uchodząc za najlepszą w dodatku partycę, była od lat

kilku celem gorących zabiegów okolicznej młodzieży. Kawalerya zajeżdżała konie, ślano swaty za swatami, a choć Krzys Oźga od dwóch lat smażył cholewki i fama nosła, że mu panna sprzyja, do ostatniej prawie chwili nie wiedziano, na czym się to skończy.

Dopiero „zapowiedzie“ położyły koniec wątpliwościom, a choć niejednemu taki wybór radczanki poszedł po nosie, na wesele pośpieszyli wszyscy, jak jeden mąż.

Więc oprócz najbliższej rodziny: Slotwińskich z Borkowej, Warków z Nadolnej, bo pani Tekla Prońska była Warkówna z domu, prócz Święcianowskich i Jan-grotów, pożenionych ze starszemi córkami radcostwa, zjechali familianci pana młodego: Barszczewscy z Lipna, Warzyńscy z Konopnicy, Kotarscy, Żytkowie, nie mówiąc już o sąsiedztwie, które się in gremio stawiło. Pan Homobon Szalawa, zwany przez szlachtę „księciem“ lub „Radziwillem“, bo ród swój od murzów tatarskich wywodził, a o odbytych podróżach wzorem „panie kochanku“ łągał niemilosiernie, dowcipniś wielki i bywalec, samych odpalonych konkurentów, co Krzysowi družbować przybyli, dwunastu naliczył. Obiegał nawet potem między szlachtą ułożony z tego powodu wierszyk:

„Na weselu panny Jadzi z Krzysztoszem
Było mendel kawalerów z „odkoszem“.

Rojno było i gwarno. Od trzech dni modrzewiowy dworek z „przystawkami“ rozbrzmiewał weselem i uciechą. Wydobyto stare srebra i serwisy; zastawione w podkowę stoły gięły się od potraw i napitków, a sprowadzona z miasteczka żydowska kapela różnęła bez przerwy od

ucha, aż muzykantom palce mdlały. W oficynach i cze-
ladnej z polecenia dziedzica ekonom podejmował służbę.

Niestrudzeni gospodarstwo, mimo podeszłego wieku
ciągle na nogach, krzatali się ochoczo, aby nikomu na
niczem nie zbywało, a kiedy nazajutrz po ślubie niektó-
rzy z weselników wymknąć się ukradkiem chcieli, roz-
ochocony radca przez żywy gwałt nie puszczał.

— Ostatnią córkę wydaję, sąsiedzie, dobrodzieju. Nie
róbcieź mi tej krzywdy... Tyle mego, co się dziś ucie-
szę — wołał, zabiegając drogę.

Kłekał, prosił, rzucał się w objęcia, ścisnął. A że,
prawdę mówiąc, nikomu się nie śpieszyło, zostali wszyscy.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo. W dodat-
ku zrobiła się straszna zadymka, więc radca wypuścić
nikogo nie chciał.

— W taki czas... z pod mego dachu... nigdy nie
pozwole! Kto mnie kocha, ten zostanie — zaklinał,
składając ręce.

I tak wesele przeciągnęło się do trzeciego dnia;
a chociaż radca, ulegając życzeniu, polecił na wszelki
wypadek drogę przetorować i zasy py rozkopać, radby był
cały orszak weselny jeszcze zatrzymał.

Nadrabiał miną, chodził pomiędzy gośćmi, węgry-
na dolewał, pośpiewując: „A co to za wesele, co go tylko
dwa dni! Żeby było cały tydzień, toby było ładniej”
— ale w duszy żał go ścisnął na samą myśl rozłąki
z ukochaną córką, więc może i dlatego, o ile mógł, od-
dalał chwilę rozstania.

Konie zaszły. Gromadka ciekawych, ze służby dwor-

skiej i wiejskiej gawiedzi złożona, kręciła się koło dwor-
ru, zaglądając ukradkiem przez szyby do wnętrza. Z po-
kojów dolatywał dźwięk muzyki, gwar wesołych głosów
i wykrzykników. W sali bawialnej tańczono do upadłe-
go. Rozpoczęty o świcie „biały mazur” przeciągnął się
do tej chwili. Młodzież, w granatowych frakach ze zło-
tymi guzikami, biła hołubce, aż się ściany trzęsły! hu-
kając z całej piersi: „oj! dziś! dziś!” W sąsiednich po-
kojach starsi kończyli „rumla”, popijając starego wę-
grzyna; poważniejsze panie, nie biorące udziału w ta-
nach, dotrzymywały placu, pół drzemiąc na pokrytych
„cycem” kanapach.

Radca Proński, spocony, zgrzany, biegł z pokoju
do pokoju, tu zagawędził, tu wina dołał, tu paniom du-
serem palnął. Wszędzie go było pełno. Właśnie, pokrzy-
kując hu! ha!, podchodził Proński do usadowionej na
wzniesieniu kapeli, dla dodania grajkom ochoty, gdy pan
Homobon Szalawa, upatrzawszy stosowną chwilę, posko-
czył do kończącej taniec panny młodej i, ujawszy w pół
„panią Jadzię”, skomenderował „odbijanego”. Na dane
hasło jaki taki rzucił się do swej danserki, muzykusy
zwawiej poruszyli smykem, i pary różnobarwnem kołem
zatoczyły po sali.

— „Książę” prowadzi! „książę”! Chwat szlacheic,
choć szpakowaty! — dało się słyszeć po sali.

A pan Szalawa, dumny z pochwały, prowadził, a
prowadził po swojemu.

Lewą rękę podniósł do góry, karku nachylił i, krzy-
cząc z całego gardła: „za mną, chłopcy! za mną!” ru-
szył z młoduchą przodem.

Nie był to już taniec salonowy, posuwisty, układny, ale istny wrzątek podskoków, huragan bitych hołubców, hukań i wykrzykników. Pary wichrowato rwały, kręcąc się jak fruczki.

Stopniowo mazur przechodził w takt oberka.

Chciano Szalawie odbić danserkę, ale umknął zręcznie, zatoczył kołem i, dotarłszy do muzyki, rzucił grajkom garść monety, krzyząc:

— Jeszcze dla mnie! po mojemu! hu! ha!

Zabrzmiła skoczno nuta obertasa.

Teraz i starsi, skończywszy pikietę, ruszyli się do tańca.

— Hu! ha! dobra nasza! — rozległo się po całym dworze.

Pan Chojnacki z Pękosławia, ojciec jednego z odpalonych konkurentów, starzec siedemdziesięcioletni, z długą po pas, białą jak lniana kądziel brodą, przeciśnięwszy się do „Radziwiłła“, klaszcząc w dłonie, odbił danserkę i, objąwszy w pół niedoszłą synowę, puścił się w taniec.

Za jego przykładem poszli inni; nawet pan Slotwiński z Borzykowej, choć utykał cokolwiek na nogę, chwycił w pół pannę Bronisławę Żyłkową i zawinął na „odsiebkę“.

— Bravo! bravo! — wołały panie, przychwalając starej gwardyi.

Taniec wrzał, ożywiając się coraz bardziej, par przybawało, bo młodzież, odsunięta od panien przez siwych ochotników, nie dając za wygraną, pociągnęła w krąg taneczny nawet starsze mężatki.

Pan Chojnacki budził prawdziwy podziw. Niósł danserkę prawie w powietrzu, hołubca za hołubcem wycinał, aż ziemia tętniała; przyklekał, mleczną brodą niemal posadzki dotykając.

— A co? a co? stara gwardya! — wołano w okół.

Daremnie niejeden, klaszcząc w dłonie, próbował odbić „panią Jadzię“, staruszek w płaschawsze zawsze w porę umknął i ani myślał ustąpić.

— Nie chciałaś syna, tańczujże choć z ojcem, złoto moje! — szepnęła do zarumienionej Jadwini i, przystanawszy przed muzyką, zanucił:

„Plusk! plusk! po jeziorze, po jeziorze...
Mała rybka lekkim skrzellewem wodę porze,
A wtem szczupak się wymyka
I polyka ją nieboże.“

Oj! żebym był tym szczupakiem,
Tobym cię połknąć żałował!
Ale byłbym też próżniakiem,
Żebym cię choć nie skosztował!“

Przy tych słowach podniósł zapłonioną mężatkę w górę i dwukrotnie w czoło pocałował.

— Mnie staremu wolno! Prawda, Krzysiu? — zagadnął, jakby tłumacząc się, pana młodego, który, korzystając z przestanku, przeciskał się ku żonie.

— Wolno, wolno, panie dobrodzieju! — zaśmiał się Krzys i, zwróciwszy się do grajków, huknął:

— Grać teraz dla mnie! od ucha, po krakowski!

Zakręcił wasa, objął kibić żony i dla poddania taktu, zaśpiewał:

„Jużem był, jużem był
Po kolana w niebie,
Po kolana w niebie!
Jakem cię zobaczył,
Skoczyłem do ciebie!
Jakem cię zobaczył,
Skoczyłem do ciebie!“

Skrzesał hołubca, zakręcił się jak wicher w miejscu i sunął, unosząc prawie w powietrzu żonę, a za nim reszta taneczników ławą.

Teraz i inni zaczęli dośpiewywać, co kto umiał.

Więc tańczący z panną Różą Kotarską Ignas Warkoński, zdradzając ukrywany afekt, śpiewał co sił starczy:

„Coby dać, coby dać
Za koszyczek wiśni,
Żeby się dowiedzieć,
Co Różyczka myśli?“

Wtórował mu młody Jangrot, przyspiewując na inną nutę, a nieszczęśliwy w miłości Bortnicki, co już wszystkie panny w powiecie objechał, biorąc wszędzie odkosza, a teraz szczyrzył zęby do Julki Warkówny, kuzynki gospodarstwa, kpiąc sam z siebie, zawodził:

„Czemużeś się nie ożenił, Bartoszu,
Kiedy była szklanka piwa po groszu?
Dlatego się nie ożenił bajdała,
Że mnie jeszcze żadna panna nie chciała!“

Zrobił się straszny chaos, zapomniano o odjeździe.

Radca Proński w siódmym niebie, dobrawszy sobie do pomocy Szalawę, podlewał węgryna, pojąc tancerzy dla podtrzymania sił. Stangretom, czekającym pod gankiem, kazał wynieść wódki i przekąsek, polecając zachować się cicho, a sam próbował namówić gości do pozostania jeszcze dzień jeden.

— Droęę przetrą lepiej, pojedziecie jutro. Nie psujcie zabawy... Każę konie wyłożyc.

Ale drobny wypadek wpłynął ostatecznie na przerwaniu zabawy. Jednemu z muzykantów pękła struna, muzyka umilkła na chwilę, z czego korzystając, starsze panie zaczęły wołać:

— Dość, dość! czas do domu!

Powoli zapal ostygł; pomęczeni tancerze, odprowadziwszy tancerki, powybiegali do sieni, gdzie służba szykowała ubrania. Panie również wysunęły się z bawialni, udając się do innych pokojów, w celu przebrania się na drogę w podróżne kostyummy.

Pan Proński jeszcze zabiegał, prosił i prosił:

— Dokąd wam tak pilno? Zostańcie! Mam jeszcze „kapkę“, palce lizać! Odpoczniecie i pojedziecie wieczorem.

— POCO wieczora czekać? Dawaj sąsiad „kapkę“

teraz... wypijemy, a jechać trzeba — wołał otwarty Szaława.

— Wypijemy i jazda! — odprowadzimy państwa młodych! prawda?

— Odprowadzim! odprowadzim! — odkrzyknięto chórem.

— Do samej Kościeszówki.

— Pod dwór! z muzyką!

— Zgoda! Zgoda!

— Proszę! serdecznie proszę! — zapraszał Krzys Ożga — ale nie pod dwór, tylko do środka.

— O! co to... to nie! — zaprotestował Szaława. — Na wszystko będzie pora. Innym razem najedziemy cię, Krzysiu kochanie! ale dziś tylko do bramy...

— Tylko do bramy! — krzyczał Franio Chojnacki. — Dalej nie pozwalam!...

— Ja poprowadzę. Pojedziemy niby kuligiem — wołał Bolek Witrzycki, chodząc od jednego do drugiego i przyśpiewując półgłosem:

„Sikoreczka nie ptak,
Panienska nie ludzie —
Trza ją odprowadzić,
Bo sama nie pójdzie!“

Pan młody wymknął się chyłkiem.

— Wiecie co? — odezwał się dobrze cięty Szaława. — Zabierzem muzykantów, niech nam drogą grają, a pod Kościeszówką utniemy państwu młodym serenadę...

— Zgoda na serenadę! zabierzmy kapele...

— Mam kopne sanie, to się pomieszczą — wtrącił Józef Kotowicz.

— Czy tylko grać potrafią na takim mrozie? Skrzepną nam Żydy — zauważył Bortnicki.

— Mróz... mróz... zachciałeś! — oburknał lekceważąco Szaława.

— Piętnaście stopni.

— To i cóż z tego! W Grenlandyi przy dwudziestu z dachów kapie, a Eskimosięta boso chodzą...

— To „książę“ byłeś w Grenlandyi? — podchwycił lubiący się przekomarzać z Szaławą Bortnicki.

Spojrzał nań zezem pan Szaława i namarszczył się.

— Byłem... byłem... Polowałem na foki! — huknął groźnie.

— Z chartami, czy z wędką? — pytał niezmiyszany Bortnicki.

Zaśmiali się słuchacze, a pan Szaława, już na seryo gniewny, uderzył pięścią w stół, nasrożył się i, podszedłszy do Bortnickiego, ujął go za klapę od fraka.

— Słuchajno, Bortnisiu! — zaczął z lekceważeniem, cedząc słowo po słowie — koncept z kalendarza... Nie udawajno mądrego, bo i tak cię żadna panna nie zechce. Szkoda, żeś się ze mną nie wybrał! Byłbym cię z jaką Eskimosówną wyswatał.

— Swataj „książę“ siebie! — syknął przez zęby Bortnicki i, wrywając się z rąk Szaławy, wołał: — Patrzcie go! dowcipniś! „Radziwiłł“! fanfaron! maćiwoda!

Zanosiło się na burzę, bo doskakiwali do siebie za-

indyczeni, lecz rzucono się między zwaśnionych, rozdzielając i godząc.

— Daj mu pokój! kto widział! Bortnicki! bracie! nie znasz „księcia“, czy co?

— Niceście sobie nie winni.

— On dociał! tyś odpalił!

— Dajcie sobie buzi!

— Et! bo „książę“ to zawsze... — przemówił, zmiekczoney, pierwszy Bortnicki, podchodząc ku Szaławie.

— Kpiarz jestem i kpiarzem umrę! Daruj, kochasiu! taka już natura! — zawołał pan Szaława, rzucając się przeciwnikowi w objęcia.

Uścisnęli się. A w tej chwili z drugiego pokoju ozwały się głosy: „cicho... cicho!... państwo młodzi... błogosławieństwo...“ Na progu ukazał się Krzyś z żoną, już do podróży przybraną. Podeszli do rodziców, przyklekli...

W sali zrobiło się nagle cicho, jak makiem posiał.

Pani Tekla, podnosząc słaniającą się do kolan parę, załkała na cały głos, radcy stanęły lży w oczach. Chciał je powstrzymać, chciał coś przemówić, ale nie mógł. Wargi mu drżały, lży gradem spłynęły po policzkach. Podniósł rękę... zachlipał i, objawszy szyję zięcia, sparł siwą głowę na jego ramieniu. Szlochał jak dziecko.

Zapłakał Krzyś, zapłakała Jadwinia.

— Niech was Bóg prowadzi — wybaknął wreszcie z trudem radca.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — szepotała, robiąc znak krzyża, pani Tekla.

— Z Bogiem, dzieci moje! nie zapominajcie o sta-

rych — jękał Proński, a otrząsnawszy się nieco z rozczulenia, dodał żartobliwie, ujmując zięcia za ucho:

— Tylko mi dziecka nie zmarnuj! bo... bo...

Rzucono się wzajemnie w objęcia. Dwa pokolenia łączył długi, serdeczny uścisk.

Teraz i inni pośpieszyli ku młodym z życzeniami i błogosławieństwem na nową drogę życia, nawet służba dworska, czekająca w sieni, ze starą Gęgarzewską na czele.

— Niechże Przenajświętsza Panienska da państwu wszystko najlepsze!

— Niech Pan Jezus we wszystkim wspiera a błogosławi!

— W zdrowiu! szczęściu! pomyślności! — wołano ze łzami, cisnąc się i całując ręce „panienki“.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — dziękował Ożga.— A pamiętajcie o Kościeszówce! niedaleko... kto łaskaw, prosimy zajrzeć... Ja i pani będziemy wam radzi...

W starym dworze biło teraz jedno serce.

Brzękły janczary, furmani huknęli z batów, podjeżdżając. Rozległo się jeszcze raz, drugi i trzeci: „do widzenia! niech Bóg prowadzi!“

I orszak weselny ruszył.

Przodem, w lekkich sankach lubianych, powożąc parą zaprzęgniętych w „szydło“ bułanków, pędził Bolek Witrzycki. Tuż za nim cwałowała czwórka karoszków w krakowskich chomątach pana Szaławy. Uprząż dzwoniła, brzęczała. Zamaszysty w centkowanej kierezyi Krakowiak palił raz po raz z bata, bo pan Szaława co chwila

pokrzykiwał: „Umykaj! umykaj! śmigaj!“ Opodał kłusowała srokata fornalka Kotowicza z muzykantami, a za nią parą gniadych mierzynów parł Franio Chojnacki, poprzedzając ekwipaż państwa młodych. Za „młodymi“ sunął jeszcze wąż sani...

Krzysia z żoną wiozła zaprzęgnięta do wybitych granatowem suknem sani czwórka siwków. Narody, kłękajcie! Koń w konia trzysta rubli co najmniej wart! uprząż angielska ze srebrnymi kłamrami, służba w niedźwiedziach... Aż oczy lgnęły.

Krzyś Oźga pół roku jeździł po jarmarkach, nim słubną czwórkę dobrał, ale za to mógł się pochwalić, że w całej okolicy nikt piękniejszego zaprzęgu nie miał.

Siwki rwały, parskając, chrapiąc, potrząsając wesoło łbami. Stary furman Kazmirek owinał lejce koło ręki, trzymał z całej siły. Śnieg bryzgał z pod kopyt końskich i sani. Mróz szczypał.

Pan Krzysztof otulał fartuchem nogi żony i raz po raz pytał:

— Nie zimno ci, królowo moja?

— Nie, nie! — szeptała pani Jadwiga.

— Jak wypadniem na pola, pojedziem z wiatrem! Byle się za wieś wydostać.

To znów nachylał się ku żonie i, dotykając prawie jej twarzy, powiedział:

— Jeszcze mi się wierzyć nie chce, żeś ty moja... skarby jedyne! Powiedz: „twoja!“ — prosił.

— Twoja, twoja! — odpowiedziała cicho.

— Obgadywali mnie ludzie, obgadywali... Ale, chwala

Bogu, na mojem staństwo... Zobaczysz, jaki będę, zobaczysz! Wierzysz-że mi, wierzysz?...

— Wierzę...

— Niech ci Bóg zapłaci! bom się tego bał strasznie...

Wyjął drobną rączkę z tumakowego zarekawką, położył do ust i pocałował. Dwie łzy duże, czyste, zabłyśły w siwych źrenicach i spłynęły po policzkach.

Wyjechano wreszcie za wieś, za opłotki, w szczerze pole. Droga, mimo dużego śniegu, była równiejsza. Bolek Witrzycki strzepnął lejcami, bułanki ruszyły cwałem i cały orszak pomknął z kopyta.

Zabrzęczały raźniej dzwonki, rozległ się głośny klan-gor janczarów, chrapanie koni, hukanie z batów. Polecieli...

Pan Szaława podniósł się w sankach.

— Muzyka, grać! — huknął. Nie dosłyszano go, więc zaczął rękami dawać znaki i czapką wymachiwać.

Muzykanci wydobyli instrumenty. Zaczęli brzdąkać, spodziewając się sutego zarobku, ale jakoś im nie szło. Kostniejące ręce nie mogły utrzymać smyka, a w dodatku rozgłos dzwonek głużył wszystko. Zaledwie basowe „bum, bum!“ donośniej rozbrzmiewało w powietrzu.

— Dość, dość! nie nie słyhać — zaczęto wołać.— Zaśpiewajmy lepiej... chórem! Zaczynaj, „księżę“, a my za tobą.

— Jak nie, to nie! — odkrzyknął Szaława. — Śpiewać, to śpiewać!

I, stojąc w saniach, zwrócony twarzą ku jadącym za nim, zaintonował z całych sił:

„Nie wstało słońce, nie wstały zwierzęta,
A już z chłopcami igrały dziewczęta —
I ja igrałem ze swoją Maryną,
Kiedym był chłopcem, a ona dziewczyną“.

Młodzież zawtórowała chórem, powtarzając ostatnią zwrotkę:

„I ja igrałem ze swoją Maryną,
Kiedym był chłopcem, a ona dziewczyną!“

„Dziewczyną“ — powtórzyło echo.

I mknęto tak, przyspiewując, z wichrem w zawody,
z weselem a radością w sercach, do starego gniazda
Ożgów — Kościeszówki.

Słońce miało się ku zachodowi, zagorzały różowym
odblaskiem śnieżne pola.

— Kościeszówkę już widać! — krzyknął pędzący
przodem Witrzycki.

— Nasze królestwo, pani moja! Jadwiniu! — rzekł
Ożga, ukazując ręką na widniejącą w oddali pod so-
snowym laskiem wioskę.

— Nasze, nasze... — powtórzyła, nachylając się ku
niemu.

Małeńka rączka wynurzyła się z tumakowego zare-
kawka, robiąc w powietrzu znak Krzyża Świętego.

Z okien prońskiego dworu rodzicielskie oczy gonily
za kawalkadą weselną długo, długo...

— Pojechali... — szepnął radca.

— Pojechali... — westchnęła radczyni, wybuchając
płaczem.

Radca machnął ręką.

— Taka to już kolej rzeczy. Trudno! Trzeba bę-
dzie, Tekluniu, na stare lata grywać w marysza, bo nie
mamy już do kogo zagadać.

Zaszlochali oboje.

Takie były przenosiny państwa młodych w roku Fań-
skim... kiedy w Gdańsku płaciła pszenica.

II.

— Żebyś szkapę z takimi nogami, jak twoje, Tekluniu, upatrzył, dałbym dwa tysiące na stół, jak honor cenę! — przemówił radca Proński, spoglądając z uśmiechem na drepcącą z kąta w kąt żonę.

Zachnęła się pani Tekla.

— Zawsze ci się żarty trzymają, a mnie serce pęka... miejsca sobie znaleźć nie mogę... Już dwa dni jej nie widziałam.

— Prawda! dwa dni! — potaknął i zasepił się również.

— A widzisz, a widzisz!

— Zgaduję, czego ci się zachciało, ale widzisz, moja Tekluniu, na wszystko będzie pora. Niech się tam najpierw młodzi z sobą nacieszą — perswadował.

— A ona tymczasem biedaczka tęskni... Może chora — wybuchnęła staruszka.

— Co ci znów w głowie? chora, chora! — zaprzeczył. — Zresztą... kot kotkę okaleczył, kot kotkę będzie leczył — dodał wesoło, lecz spojrzawszy na żonę, której się na płacz zbierało, porzucił ton żartobliwy.

— Dajże pokój, Tekluniu — począł.

Ale i jemu samemu zrobiło się przykro. Westchnął i rzekł po chwili:

— Tak to, tak, na stare lata zostaliśmy sami, jak palec!

— Jak palec! — powtórzyła, lykając łzy, pani Tekla.

— Te już chyba jak dwa palce — zażartował znów chcący rozweselić żonę pan Kwiryn, i podbiegłszy do kręcącej się po pokoju małżonki, ujął jej głowę i pocałował w czoło.

— Dalbyś pokój, stary! — fuknęła. — U ciebie śmiech i łzy pomieszane, jak kawa ze śmietanką.

— Jak kawa ze śmietanką? Dobra myśl, żonusi. Zamiast marszczyć się i srożyć, każ dać kawy! Czwarta dochodzi... a ja tymczasem postawię pasyansa. Jeżeli wyjdzie...

— To co? — przerwała.

— To... da Bóg doczekać... w sobotę pojedziemy do Kościeszówki. Żeby tylko na dworze sfolgowało, bo na taki mróz niepodobna z twojem zdrowiem.

— Kiedy mi nic nie jest! — broniła się uradowana obietnicą pani Tekla.

— Nic, nic, a później dychu, dychu! kwęku, kwęku! i po doktora. Już ja wolę nie próbować. Napędziłaś mi dość strachu w zeszłym roku. Z zapaleniem płuc żartów niema.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — już nieco weselej odrzekła na to pani Tekla. — Jak zaczniesz odwłóczyć, do Wielkiejnocy zejdzie, a mnie, Kwirynku, za Jadwinia naprawdę tęskno, bardzo tęskno!

Przy tych słowach zbliżyła się do siedzącego nad talia kart męża i przesunęła dłonią po jego głowie, mówiąc z przymleniem:

— Nie udajno i ty, staruszku, nieczulego, nie udaj! Mnie w pole nie wywiedziesz. Widzę ja dobrze, widzę... Straciłeś apetyt, popłakujesz po kątach, i tobie tęskno za naszą pieśczotką. No, przyznaj się, tęskno ci?...

Teraz z kolei radca udał zagniewanego.

— Ej! co tam bajesz! tęskno, tęskno — odrzekł, zabębniwszy palcami w stół. — Tęskno!... Czy to niespodzianka, czy co? Wychowaliśmy córkę... poszła za mąż i koniec! Zwykła kolej rzeczy, niema nad czem debatować. Trudno przecież pannę trzymać w domu do nieskończoności... Zresztą... baba z wozu, koniom lżej...

— Ładne lżej... już ci łzy ciurkiem po wąsach płyną.

W rzeczy samej radca miał łzy w oczach. Ojcowskie serce na równi z macierzyńskim tęskniło za ukochanym dziecięciem. Tylko przez wzgląd na żonę nie chciał się radca wydawać z tęsknotą, starając się żartobliwośćią pokryć tkwiące w piersiach uczucie smutku.

Nie zawsze jednak zdołał panować nad sobą. I teraz wzmianka o łzach do reszty rozrzewniła Prońskiego. Zachlipał, rzucił karty, wstał od stołu i zaczął szybko biegać po pokoju, mrużąc:

— Z kobietami zawsze tak! Jak się której czego zachce, choć łeb urwij! postawi na swoim. Dobrze już, dobrze, pojedziemy! Niech tylko sfolguje. Powinno nawet sfolgować, bo mnie pięty pała.

Potem, przystanąwszy przed umieszczonym we framudze okna barometrem, dodał głośno:

— Spada, będzie odwilż!...

I uśmiechnął się pod wąsem.

Pani Prońska aż ręce zatarła z radości i z okrzykiem „chwała Bogu! chwała Bogu!“ podbiegła do barometru.

— Tylko mi co nie zmajstruj! — przestrzegał lubiący się przekomarzać z żoną Proński.

Lecz pani Prońska nie uważała już teraz na docinki męża, tylko, rozpogodziwszy twarz, mówiła szybko:

— Więc w sobotę, Kwiryнку, w sobotę? Lece, biegnę... trzeba się do drogi przygotować... I Gęgarzewskiej powiem, dopiero się ucieszy! Koniecznie prosi, żeby ją zabrać do Jadzi. Pozwolisz?

— Jeszcze czego! Zresztą wszystko jedno... w ka-recie dość miejsca, a Jadwinia ją lubi. Tylko nie wiem, czy Krzyś będzie rad, jak mu się tyle bab pod dach zwali.

— Co też ty wygadujesz! Krzyś taki poczciwy, zacny...

— Ta, ta, ta! — drażnił się radca — już on tam, przy całej poczciwości, woli samą Jadzię. Zresztą nie wiem — dodał poważniej — czy wypada? Jeszcześmy posagu mu nie dali, a już z całym dworem...

— Posagu?... — powtórzyła zdziwiona i urwała, nie skończywszy zdania.

— Hm! hm! czyś co mówiła? — mruknął, odwracając się raptem.

— Ej! nie, nie! Tylko myślałam, żeś mu posag jeszcze przed ślubem wypłacił. Wszakże mówiłeś...

— Mówilem i chciałem, ale on nie chciał.

— Krzyś nie chciał?

— A nie chciał! Co ci tam zresztą do tego? Nie chciał i koniec. Wtykałem mu zaraz po zaręczynach, żeby na ekwipacyę od Żydów brać nie potrzebował, a on... Et! co to dużo gadać! Powiedział mi ni mniej, ni więcej, że nie weźmie. „Po ślubie (mówił), co łaska ojca, przyjmę z wdzięcznością, ale teraz nie tknę! Już i tak mnie za utracyusza ogłosili...“ Ot co! harda dusza, jak honor cenię!

Prońska słuchała z zaciekawieniem i radością.

— A widzisz, Kwiryнку — rzekła, gdy radca, skończywszy, zaczął się znów przechadzać po pokoju — a widzisz! Zawsze mówiłam, że to z kośćmi dobre. Ludzie go obgadywali, ale ja nie wierzyłam! Dobrze mu z oczu patrzyło od razu... Patrzcie! żeś to mi dotąd nie mówił. Od pierwszego spotkania czułam coś do tego chłopca.

— A jednak, gdy Barszczewski przyjechał go deklarować, stawiałaś się okoniem.

— A nieprawda, to ty!

— Jako żywo, nie!

I tak pół żartem, pół seryo, zaczęli się spierać starszkowie, wspominając drugiego dnia po weselu owe niedawno minione chwile, kiedy to pan Krzysztof Ożga ich ukochaną Jadwinę targował.

Mrok padł zupełny, a oni gawędzili jeszcze. Spowite przepaskami szarych obłoków słońce ginęło zwolna na zachodzie, aż wreszcie, jak zetlona główka, poczer-

niało i zgasło. Z nieba zaczęły mrugać z rzadka przysłonięte robrońem chmur gwiazdy i wypłynął blady sierp księżycyca... w lisiej czapce.

— Będzie „zmiana“ pewnikiem! — zawyrokował przybyły wieczorem po dyspozycyę ekonom.

Jakoż zapowiedź odmiany sprawdziła się co do joty.

W nocy powiał ciepły wiatr z południa, mróz zelżał, zwieszające się z drzew i domostw soople lodu, krusząc, odpadały z łoskotem; nad ranem zaczęło kapać z dachów.

Była odwilż.

Na przygotowaniach do podróży zeszedł dzień cały.

Pan Proński, w wysmienitym humorze, żartował z krzątającej się z Gęgarzewską żony, że cały Prońsk chciałaby zabrać do Kościeszówki, gdyż rzeczywiście pani Tekla pół spiżarni zapakowała w supełki, faski, słoiki, tak, iż wzięcie pod ten „gościniec“ drugiej furmanki okazało się koniecznem.

Śmiał się ze spiżarnianych prezentów żony Proński.

— Czy ci się zdaje, Tekluniu, że oni się tam głodem morzą, czy co?... Ręczę ci — mówił, pokazując czworograniasty pakiet, owinięty ceratą — ręczę ci, że ja im coś lepszego wiozę. Pięćdziesiąt „skórek baranich...“ To trochę więcej warte od twoich konfitur, marynat, nawet z Gęgarzewską razem!

Nazajutrz po śniadaniu wyruszono w drogę.

Dzień był ciepły, chociaż mniej słoneczny, bo śnieg kiedyś niekiedy dużymi płatami polatywał, a raptowna odwilż roztoczyła w okół jakąś mglistą czarniawę. Za-

rysowało się wyraźniej ciemne tło okolicznych lasów, na poszarzałej, niby dawno niebielone ściany, śnieżnej powłoce wystąpiły zygzakowate plamy: stare tropy zajęcze, lisie i ludzkich stóp ślady; z odkrytych miedz polnych i przegonów wyrzwały zeschnięte badyle bodiaków i dziewanny, żdźbła niewypasionej na jesieni trawy, w rowach, bródach i nizinach potworzyły się na zakrzepłej lodowce żółtawe kałuże spływającej śniegówki.

Ale droga była dobra, utarta, zasy py rozbite.

Po zamiełym śniegu, jak po maśle, ślizgały się kryte sanie Prońskich, a za nimi fornalskie płozy, pełne paczek i paczuszek z wiktuałami.

Pani Prońska, która od lat paru dalej niż do parafialnego kościoła zimą nie wyjeżdżała, otulona w elokową salopę, w watowanej czapeczce i sukiennych berlaczach, raz po raz wychylała głowę z karety i zarzucała męża pytaniami:

— A daleko jeszcze?... ujechaliśmy już pół drogi? Kiedyż nareszcie będzie ta Kościeszówka?...

Wtórowała jej nieśmiało siedząca na przodzie poczciwa Gęgarzesia, którą również, jak mówił radca, „korcilo“, bo się wierciła, podnosiła i przysiadala napowrót, jakby ją kto na szkle posadził.

Radcę bawiła niecierpliwość kobiet, więc naumyślnie odpowiadał na pytania półsłówkami, lub drażnił się, wołając na furmana:

— Śmigaj, śmigaj! bo to jeszcze kawał drogi.

W rzeczywistości jednak z Prońska do Kościeszówki był niespełna cztery mile, po dobrej drodze nie całe trzy godziny jazdy.

Jakoż słońce zaczęło dopiero skrecać ku południowi, gdy na ujętej w klamry sosnowych borów przestrzeni ukazały się najpierw dwa szeregi chat włościańskich, a dalej nieco w pośrodku wioski kępa огоłoconych z liścia drzew, rzędy strzelistych różg topoli, olbrzymie rosochy białodrzewiu, powiewne kiście brzoź, z pośród których, niby zawieszony w powietrzu, wystrzelał przyprószony śniegiem płaski dach dworu z trzema buchającymi dymem kominami na grzbiecie.

Proński wychylił się z sani, rzucił okiem, potem spojrział na żonę i uśmiechnął się.

Pani Prońska, urażona na męża za poprzednie niejasne odpowiedzi, wtuliwszy się w kątek karety, siedziała zasepiona.

— Powiedziałbym ci coś... — odezwał się Proński — ale kiedy się gniewasz...

— Boś nieznośny z temi ciągłymi kpinami! Myślałby kto, że masz dwadzieścia lat, a tu już szósty krzyżyk... Wstydzilibyś się, doprawdy!

— Czego się mam wstydzić? Czy może tego, że... że... już... Kościeszówkę widać!

Prońska omal nie wyskoczyła z sani, zerwawszy się z siedzenia.

— Kościeszówka! ty nie dobrego! A ja myślałam, że ledwie wieczorem staniemy. Pokaż-że, gdzie... czy pod lasem?...

Więc radca, ukazawszy ręką w kierunku wioski, mówił w dalszym ciągu:

— Patrz! tam granica... hen ku lasowi na lewo, da-

lej tam pod górkę aż po Zabłocie Szwaławy. Rzeka rozgranicza.

— A ten las? — spytała.

— Także kościeszowski. Za lasem jest jeszcze Krzysiów folwark, ale stąd zabudowań nie widać — objaśniał.

— Mój Boże, mój Boże! to już! — radowała się Gęgarzewska, biorąc w ręce, aby mieć napodorędziu, kanwową torebkę, w której wiozła pół tuzina ciepłych ponczoch własnej roboty na nowe gospodarstwo dla swej Jadwisi.

A Proński, nachyliwszy się ku żonie, opowiadał dalej półgłosem:

— Ładny to szmat ziemi! Trzydzieści włók pod plugiem, jak obszył! nieużytków prawie niema, łąk dwukośnych prawie sto morgów... i jakich! Potraw za siano obstoi. Przytem i lasu, choć przechlastanego, ale kawał. Majątek całą gębą! Co prawda, hipoteka zamazana. Pięćdziesiąt tysięcy nieletnich Waszyńskich, dług jeszcze przez nieboszczyka ojca Krzysiówego, s. p. pana Rafała, zaciągnięty, „Towarzystwo“ duże, a i Krzysio coś tam u Żydów dorobił. Mówił mi Mordka, że samemu Szymsze dziesięć tysięcy winien.

— Dziesięć tysięcy! — westchnęła Prońska. — Najgorzej z Żydami.

— Jakoś to tam będzie! Przed ślubem nie śmiałem mu tego mówić, ale teraz natrę z góry. Musi najpierw te parszywe długie pospłacać, bo to najgorsze... O resztę mniejsza, spłaci się powoli. Trochę się załata

posagiem Jadwini, a reszta jak Bóg da! Młodzi, mają czas... Krzys zawołany gospodarz, byle tylko statkował, wyrobi się przy naszej i Boskiej pomocy. Byle tylko przysiedział faldów...

— Tak przecie kocha Jadwinie! Dla niej samej... — wtraciła pani Tekla.

— Ba! kocha, kocha! Niechby nie kochał! dalbym ja mu! Ale co to gadać! Chłopiec złoto, za Jadwinia szaleje, bo to widoczne... przecie go swatali z tą milio-nerką Pokrzywnicką, a nie chciał... będzie siedział w domu, zagona pilnował. Albo im to źle we dwoje? Pamiętasz, Tekluniu, jak to my z początku... kijem mnie z domu nie wypędził!

Przy tych słowach ujął rękę staruszki i pocałował. Tak rozmawiając, dojechano do wsi.

Już idąca wyciągniętym klusem czwórka kasztanów, parskając, zanurzyła się w szyję opłotków, gdy na polance pod lasem ukazał się jeździec na dzielnym gniadoszu, a za nim na grubopłaskim bułanym podjezdku dojeżdżacz ze smyczą chartów.

Myśliwy na odgłos dzwonek przystanął, spał się w strzemionach, przysłonił dłonią oczy. Poznał jabłkowite kasztany.

— Antek! to z Prońska?...

— Z Prońska, jasnie panie! — potwierdził śledzący też oczyma sunące przez wieś sanie wyrostek.

— Jazda! — huknął Oźga (gdyż on to, korzystając z odwilży, wybrał się z chartami na kota) i, ściągawszy cugle, wypuścił gniadosza cwałem. Koń wyciągnął

się jak struna, położył uszy po sobie i, rozmiatając śnieg kopytami, pomknął jak strzała. Dla skrócenia drogi skreślił pan Krzysztof konia i pocwałował na przelaj przez pole. Przesadziwszy rów przydrożny, dotarł do opłotków, spał giadosza, koń skurczył się, zebrał do skoku i za chwilę pędził już Oźga po drodze, wiodącej ku dworowi, na której jeszcze połyskiwały świeże ślady sanie.

Koń brzuchem dotykał ziemi, a Oźga naglił jeszcze. Chciał koniecznie zabiedz drogę, uprzedzić Jadwinie i powitać teściów na progu domu. Ale daremnie dzielny wierzchowiec wyteżał siły. Sanie wjechały już na dziedziniec. Zaledwie udało się Oźdze dopaść równocześnie pod ganek.

Jeszcze osadzony w miejscu gniadosz nie zdążył wypuścić pary z rozwartych chrapów, a już Krzys z okrzykiem: „Ojciec! mama! a to mi goście!“ ściskając i całując, prawie na rękach powynosił przybyłych z karety.

W zapale dostało się nawet „Gęgarzesi“, którą w obydwu rumiane policzki wycalał.

— Waryacie, co robisz! a to szalała! Uduśisz mnie! — bronił się rozradowany radca.

— Dajże pokój, dziecko kochane! — protestowała unoszona w silnych objęciach zięcia pani Tekla.

— Co też pan dziedzie wyrabia! — wykrzykiwała zażenowana gospodyni.

A Krzys biegł od matki do ojca, od ojca do matki, obcałowując ręce, ściskając w pól i wykrzykując:

— A to mi goście! dopiero się Jadwinia ucieszyl!

Tymczasem stary lokaj Wawrzyniec, który na odgłos dzwonek wybiegł do sieni, widząc, kto przyjechał, w te pędy pobiegł zawiadomić o tem panią Jądwigę, znajdującą się pod tę porę w izbie czeladnej, gdyż młoda mężatka, chcąc się przed mężem popisać znajomością gospodarstwa, od razu zarząd domu wzięła w swoje ręce.

Stała właśnie przy olbrzymim saganie i próbowała barszczu, przeznaczonego dla czeladzi, gdy wbiegł zaczyszany Wawrzyniec z okrzykiem:

— Państwo starsi przyjechali!

Na te słowa pani Krzysztofowa zarumieniła się z radości i wybiegła tak jak stała, w rannym negliżyku, przepasana fartuchem, nawet z trzymaną w ręku łyżką.

I stanęła tak przed rodzicami, w tym stroju wiejskiej gosposi, z berłem swej władzy — łyżką, zarumieniona, że aż maleńkie uszka poczerwieniały. Tchu w piersiach złapać nie mogła.

Radość odebrała jej mowę, tylko w oczach jaśniało wesele, szczęście, niezamącone niczem szczęście!

Przez chwilę stała jak wryta w miejscu, nie wiedząc, kogo najpierw witać; wreszcie wyciągnęła obie dłonie, toż samo uczynili starzy — i trzy pary rąk złączyły się w jeden długi, serdeczny uścisk.

— Ojciec, mama i poczciwa „Gęgarzesa“! jacyście wy dobrzy, jacy dobrzy! — powtarzała młoda mężatka raz po raz, dzieląc między wszystkich uściski i pocałunki.

— Chodźcież państwo do pokoju! — nawoływał Krzys, ale napróżno. Nie mogli się dość sobą nacieszyć.

Wreszcie, gdy przeszedł liczny wylew czułości, udało się panu Oźdze wprowadzić całe grono do najbliższego pokoju.

Tu powtórzyło się toż samo.

Z jednej strony matka, z drugiej ojciec, stanęli, jak na straży, przy młodej mężatce, patrząc jak w obrazy.

Proński co chwila brał córkę pod brodę, przysuwał jej twarz do swojej, spoglądał badawczo w piwne oczy Jadwini, jakby z nich coś ciekawego pragnął wypatrzeć, i co chwila powtarzał:

— Ktoby się to był spodział, kto! Taka smarkula... i już mężatka! prawdziwa mężatka!

Lub nachylając się, coś szeptał do ucha, na co zapłoniona Krzysztofowa tylko pocałunkiem odpowiadała.

— A jaka gosposia, jaka gosposia! — przytakiwała z drugiej strony pani Tekla. — Przymizerniałaś trochę, moje dziecko! Ale to może ze wzruszenia. Jednakowoż trzeba się szanować — radziła, gładząc córkę po czole.

— Zwłaszcza nóg, Boże uchowaj! nie zamaczać... a to przy gospodarstwie łatwo — wtrąciła Gęgarzewska, wydobywając równocześnie węzełek z pończochami.

Chwila wydała się odpowiednią dla wręczenia podarunku. Podeszła bliżej i, podając pęk pończoch młodej mężatce, zaczęła:

— Sama robiłam. Przydadzą się pani... pani...

Zmieszała się bardzo, bo nie wiedziała, jak ma tę Jadwinie, którą na rękach nosiła, tytułować.

— Dla Jadzi, tak jak dawniej, pocziwa, zaćna Gęgarzesiu! — przemówiła Krzysztofowa, ścisnąwszy serdecznie staruszkę. — Bóg wam zapłać! Dopiero będę miała wygodę! choć w trzaskający mróz można chodźć, takie ciepłe.

— I ja ci tam troszkę przywiozłam do spiżarni: — pochwaliła się teraz z kolei Prońska, — bo wiem, że to tam w kawalerskim domu wielu rzeczy brakuje.

— Ciekawy jestem, czego ci u mnie swojego brakowało? — wtrącił się Proński. — Znalazłaś wszystkiego w bród!...

— Nie wierz też, nie wierz ojcu, mój Krzysiu! — odcieła ze śmiechem. — Zastałam trzy kopy nówek baranich i ćwierć osypki dla chartów.

Zaśmiali się wszyscy, nie wyłączając Gęgarzewskiej, która, jako gospodyni pana Kwiryna jeszcze z kawalerskich czasów, wiedziała coś o tem.

Radca początkowo udał obrażonego, ale po chwili roześmiał się również na całe gardło i, zwracając się do zięcia, rzekł:

— Widzisz, Krzysiu, jak nas obgadują!

— Biorę na świadectwo Jadwinę, że u mnie, prócz osypki, znalazło się coś więcej — odrzekł Oźga.

W tym momencie, jakby na potwierdzenie tych słów, uchyliły się drzwi i ukazał się Wawrzyniec z pełną tacą zakąsek w ręku.

Wytrawny sługa, nie czekając rozkazu, zajął się przygotowaniem śniadania.

— Tum cię czekał! — zawołał wesół Krzyś. — Oto dowód. Kochani rodzice pozwolą... Proszę do stołu!...

— Mamuńciu! tatk! proszę! — zapraszała Jadwinia, rozstawiając na stole poczęstunek. — Proszę, bo obiadek będzie nie bardzo...

— A cóż tu, u licha, po obiedzie! — rzekł Proński, ukazując na zastawiony stół — tego starczy... Zrazy z kaszą... pyszna rzecz! No, Krzysztofie! daj-no gorzałki!...

Zasiedli do stołu. Jedna tylko Gęgarzewska, mimo zaprosin, wymówiła się obserwowanym postem. Poprzedstawszy na kieliszku wódki i kromce chleba z masłem, dygnęła na podziękowanie i wybrała się na zwiedzenie gospodarstwa.

Panowie ćwiczili z apetytem, ale panie zaledwie dotknęły potraw. Panią Teklę nasycił widok ukochanej córki; jedzenie zastąpiła ożywiona rozmowa, prowadzona niekiedy półszepceniem, widocznie niedostępnej dla męskiego ucha treści. Młoda mężatka, zapłoniona, odpowiadała matce z niejakim zakłopotaniem, malującym się w dużych piwnych oczach.

Proński kilkakrotnie wskazywał zięciowi ruchem głowy zagadane kobiety. Wzruszał ramionami, uśmiechał się pod wąsem, jakby się dziwił, wreszcie rzekł:

— Jak te kobiety paplać lubią! Gotowe wszystko poświęcić... Oho! już ja tu prędko matki nie przywiozę! Poschłyby nam żony, mój zięciu! Zamiast jeść... panie pytują a pytują!

— Tatuńciu! — odezwała się z wyrzutem Krzysztofowa, a Krzyś, chwyciwszy półmisek, podbiegł do matki i, mimo protestu staruszki, nałożył jej kopiasty talerz zrazów.

— Mateczko! ojciec ma rację! Jeśli mnie mateczka kocha, proszę zjeść choć troszkę, tycia... — prosił.

— Ależ! — broniła się.

Mimo to, zaczęła jeść, spoglądając z lubością na zięcia, który podobną porcję wydzieliwszy żonie, głóśnymi pocałunkami w samo czoło dodawał apetytu Jadwini.

Radca, śmiejąc się, potakiwał:

— Tak, to aż miło! Właśnie! właśnie! Zuch z Krzysztofa! A co, synu! widzisz, jak nam się teraz żony zabrały do jedzenia. Nastraszyłem ma'kę i patrz! ćwiczy, aż jej się nioby trzęsą! cha! cha! Wolno! wolno! bo się udławisz, Tekluniu! — wykrzykiwał wesoło i, zwróciwszy się do Krzysia, spytał:

— Ale, ale! jakże ci się polowanie udało? Psy nie zapadają? he?

— Pole doskonale! tylko szelmy koty pomykają daleko! Drapnął mi jeden, ale za to drugiego zajechałem prawie w kotlinie... Wzięła go Lotka bez obrotu... Bo to, widzi ojciec, obiecało nam się kilka osób na jutro — opowiadał z ożywieniem Oźga. — Nawet mi to nie na rękę, bo właśnie wybieraliśmy się dzisiaj do rodziców... ale skoro... — tu pocałował Prońskiego w ramię — skoro rodzice tak łaskawi... to jeszcze lepiej! Będzie nam weselej. Dziś wieczorem pewnie ściągnie wuj Barszczewski.

— Barszczewski? Wyśmienicie! utniemy pulkę we trzech. Ale teraz nie traćmy czasu. Zostawmy kobiety, niech się tam z sobą nacieszą... a my przejdziemy do gabinetu na cygara. Chcę z tobą na osobności pomówić — szepnął na ucho.

Wyszli.

Kiedy się znaleźli w ubocznym gabinecie, radca z całą powagą wyjął z kieszeni surduta ceratowy pakiet i, podając go Krzysiovi, rzekł krótko:

— Oto posag Jadwini. Proszę cię...

Na twarzy Oźgi odmalowało się chwilowe zakłopotanie. Wziął podawaną paczkę, pocałował ojca w ramię raz i drugi, i, jakby nie wiedział, co ma z tym fantem robić, stał w miejscu, milcząc.

Po sfaldowanem czole znać było, że myśl skupia, że chciałby coś powiedzieć, lecz obawa obrażenia teścia zamyka usta.

Wreszcie jeszcze raz schylił się do ręki ojcowskiej i rzekł z niejakim wahaniem:

— Dziękuję kochanemu ojcu za tę pomoc, która, Bogiem a prawdą, przyda mi się bardzo. Ale majątek Jadwini powinien być nienaruszonym... Dlatego, biorąc go, proszę o pozwolenie zahypotekowania.

Żachnął się radca.

— Skoro ci zawierzyłem córkę, co więcej chyba znaczy, mój Krzysiu, od głupich kilkudziesięciu tysięcy — przerwał — to już o hipotece niema mowy! Gdzie dobrej wiary niema, tam pisaniny psu na budę! Bierz, skoro ci dają i ufam! a o żadnych rejentach, aktach nie wspominaj! Przyjm tylko jedną radę od starego: spłać najpierw Żydów, bo to nas gubi. Te małe, kieszonkowe długi stokroć gorsze od sum hipotecznych. Nie wiadomo kiedy urosną!

Ujął zięcia za ucho, pociągnął i zartobliwie spytał:

— Wiem, żeś tam porządnie nasmarował... Młode piwo! No, przyznaj się, ile to tam będzie tych „niżej podpisanych“?

Ożga rozkrzyżował ręce, wzruszył ramionami.

— Albo ja wiem, ojcze! — odrzekł szczerze. — Brało się i stąd i zowąd. Słowo honoru, na razie nie wiem! Ale znów nie tak wiele! — dodał, uspokajając. — Nie tak wiele... Zwołam szelmów i hurtem popłacę!

— Właśnie, właśnie! — potwierdził Proński. — Choć ciał źle, żeś się dotąd nie obliczył. Najgorzej nie wiedzieć... Zaskoczyliby cię niespodziewanie i skórę zdarli.

— Cicho siedzą...

— Nie bój się, nie bój! ruszą się szelmy. Niech tylko zwąchają, żeś przy pieniądzach.

— A i owszem! Nie będę ich przynajmniej szukał po całej gubernii.

— Już-to, nie wymawiając, nie brakowało ci talentu do robienia długów.

— Sami się nieraz napierali.

— A ty, rzecz prosta, brałeś!... Oj, młodzi, młodzi! Ale i ja takim ongi byłem — mruknął do siebie Proński i zamyślił się.

Ożga zamilkł również. Rozmowa z Prońskim, choć prowadzona po przyjacielsku, z całą ufnością, bo pan Krzysztof, otwarty z natury, nie chciał niczego przed teściem taić, zaniepokoiła go jednak. Za kawalerskich czasów płynął mu sam grosz w ręce, brał bez rachunku, nie licząc, nie troszcząc się, kiedy i z czego odda. Prawda, że wierzyciele natarczywymi nie byli. Dopisało się

na kwitach procent... siedzieli cicho. Nie było potrzeby rachunku. Nie wiedział też Ożga istotnie, ile winien. Ale to było dawniej. Teraz rozbudzona pytaniami teścia pamięć zaczęła pracować, skupiać sumy, dodawać kwit do kwitu, pożyczkę do pożyczki...

Przed oczyma zamyślonego Ożgi przesuwał się w tej chwili cały szereg wierzycieli. Rudy Szymcha Rajzman, „ciotka“ Fajglowa, Jójna Cyc, Mendel Pinkus, cała hurma handlarzy końmi, kupców zbożowych, w poplamionych chałatach... Widział rzeszę jarmulek, schylających się pokornie do kolan, setki rąk wyciągniętych ku sobie, a każda z nich trzymała kwit, rewers, kontrakt zbożowy, z podpisem: Krzysztof Ożga.

Wzdrygnął się.

— Dyabli nadali! — zaklął w duchu. I począł znów liczyć. Ale daremnie.

Rachunek zrywał się co chwila, liczby plątały się w pamięci, cyfra zastępowała cyfrę, koniec zaczął emniał początek. Krzyżowały się setki, tysiące, jedne odpadały, przybywały drugie.

Próbował zliczyć „co z większa“, lecz, mimo wysiłku, i to się nie udawało. W umyśle Ożgi powstał chaos, istny wir liczb, zamęt, którego pamięcią ovladnąć nie mógł.

Jedno tylko wiedział teraz na pewno, że było tego dużo, bardzo dużo.

Zakręciło mu się w głowie, na czoło wystąpiła chmura. I pierwszy to raz może w życiu uczuł się niezadowolonym z siebie.

Proński, zadumany również i milczący, dostrzegł wreszcie frasunek zięcia.

— Pewnie mi się co ostrego wyrwało i chłopak wziął do serca — pomyślał i jął łagodzić:

— No, no! nie trać fantazyi, chłopcze. Nie święci garnki lepią! Nie w takich jeszcze opałach bywali inni, a jakoś wychodzili cało. Ja sam... przyznam ci się, także swojego czasu... panie tego... A jakoś Bóg dał! Dzieci wyposażyłem, mam do ust co włożyć i jeszcze, po najdłuższym życiu... Nabroileś, kochasiu, bo nabroileś!... ale... Jednych splacimy zaraz, drudzy poczekają jeszcze... i jakoś to będzie!

Mówił to łagodnie, głosem miękkim, pełnym otuchy. Więc Oźga, który z natury niczego bardzo do serca nie brał i trapić się długo nie umiał, rozchmurzył się, spogodniał i, rzucając się teściowi w objęcia, zaczął powtarzać wesoło:

— Pewnie, że jakoś będzie! Co nie ma być! Jednych splacę zaraz, a drudzy poczekają. Czekali dotąd, mogą jeszcze. Naobdzierali mnie procentami, mogą... Jak ich przycisnę, to się jeszcze od niejednego szelmy coś utarguje.

Proński słuchał i potakiwał skinieniem głowy, a Oźga wyliczał niektórych wierzycieli i wysokość wierzytelności, o ile mu w pamięci zostały.

Rozweselił się na dobre i, wymieniając „co z grubszą“, pokpiwał z samego siebie:

— Spora litania! a to dopiero grube ryby! Płotek... to, jak ojca kocham, nie pamiętam, ale mniejsza o to!

jakoś to będzie! Przy pomocy kochanego ojca dam sobie radę. Choćbym miał ręce po łokcie urobić, nie dam się Żydom.

Proński pocałował go w czoło. Przerazał go wprawdzie ogrom długów, ale ujmowała otwartość zięcia. Zresztą widział, że, pomimo wszystkiego, stan interesów nie jest rozpaczliwy, że istotnie przy jakiejś takiej rządności wyrobić się można. O dobrych chęciach Krzysia nie miał potrzeby wątpić, a słyszane przed chwilą słowa, zapal, z jakim je Krzysztof wygłaszał, wrodzony przytem optymizm, utrwaliły w Prońskim przekonanie, pewność nawet, że naprawdę jakoś to będzie!

Więc wysłuchawszy wywodów zięcia, zaczął mu jeszcze więcej dodawać otuchy, pouczając, jak sobie ma w niektórych okolicznościach radzić.

I gawędzili tak czas pewien, z pogodą w sercu, z wiarą w jasne słoneczne jutro, aż miłą pogawędkę przerwał najpierw dolatujący z podwórka odgłos dzwonek, potem dwukrotny trzask z bicia.

Pod oknami dworku przemknęła buchająca oparem czwórka karoszków.

— To „książe“! — zawołał Krzys, podbiegłszy do okna, poczem wypadł szybko na ganek na powitanie pana Szalawy.

Teś podążył także za zięciem, a równocześnie z nimi zjawił się w przedsieniu stary Wawrzyniec z doniesieniem, że obiad na stole.

Więc pan Szalawa, który zaledwie zdążył wysiąść z sani, witając serdecznie gospodarza, wołał:

— A co? Mam niuch! waza na stole! w to mi graj! Wawrzyniec! a co tam macie na obiad? Pewnie jaki krupnik, jak zwykle?... Przepraszam! zapomniałem, że to nie dawne czasy! Jest gosposia, jest!... to i ład pewnie inny. Już ślinę łykam...

Gadał jednym tchem, obcałowując pana Krzysztofa, rozkładając zamasyście rękoma, chrząkając, sapiąc.

W tym momencie, postawiwszy kolnierz u surduta, wyszedł i Proński na ganek z okrzykiem:

— A toś nam książe z nieba spadł!

— Dziadzio! a może i babcia tutaj? — huknął teraz Szalawa, podsuwając się do pana Kwiryna. — A to niespodzianka! Dalibóg! nie spodziewałem się radcostwa. Pilno widać dziadkom. Dobrze powiedziałem, Krzysiu? Hm? No, ale o tem potem — paplał, idąc między Oźgą a Prońskim do wnętrza — a teraz najważniejsza rzecz: co mnie tu sprowadza.

— Zawsze rad widzę kochanego sąsiada — wtrącił Oźga.

A pan Szalawa mówił dalej:

— Bo to, widzisz sąsiad... ni mniej, ni więcej, tylko zamierzamy was jutro najechać. Wybiera się pół powiatu. Nie chciała góra do Mahometa, więc... Miała to być niespodzianka, wzięli nawet ode mnie słowo, że się nie wygadam, ale pomyślałem sobie: nuż się młoda gosposia skręci? i wpadłem uprzedzić. Tylko sza! ani mru-mru! boby mnie zakrakali.

— Serdecznie dziękuję sąsiadowi — odrzekł wesóło Oźga. — Nie damy się zjeść w kaszy! nie damy! I tak

mieliśmy mieć kilka osób z rodziny... im więcej, tem lepiej.

Teraz długi, procenty, Żydzi, cała rozmowa, prowadzona przed chwilą z teściem, wywietrzały mu z głowy. Zaprzętała go tylko jedna myśl, żeby wystąpić pokaznie, co się zowie!

Więc prowadząc do jadalni Szalawę, wołał już z daleka do krzątającej się koło stołu Jadwini:

— Żonusi! mamy gościa! Mamo! jutro pół powiatu u nas... czysty najazd, słowo daję! Ale nas nie zaskoczą znienacka? prawda? Poczciwy książe, przyjechał umyślnie uprzedzić... Dam ja im niespodziankę! Kiep będzie, jeśli którego trzeźwym puszcę!

Radość mu bila z twarzy, oczy gorzały.

— Kiep jestem! — powtarzał. — Splatamy im takiego psikusa, że ręką, nogą nie ruszą!

— Tak, tak! — potwierdził Szalawa, który, podczas Krzysiowej oracyi powitawszy z głębokim uszanowaniem panią Prońską, teraz zbliżył się do pani domu z komplementem „o różyczce“ na ustach.

— Nie zaśpimy w kotlinie, sąsiadeczko dobrodziejko! Niech świat wie, co to znaczy pani Oźdżyna! do tego Prońska z do.nu. Podziwiano dotąd piękność różyczki, teraz z kolei gospodarność pszczołki... panie dobrodzieju!

I byłby tak komplementował, cmokając raz po raz różową rączkę pani Krzysztofowej, ale Proński przerwał:

— Dajcież już pokój! zupa wystygnie! Krzysiu! gorzałki do księcia, że dobrą przywiózł nowinę! Sładajmy...

Skoczył Krzys, przepił na jedną, na drugą nogę, zaczęli wszyscy siedli i, rozmawiając z ożywieniem o jutrzejszym przyjęciu, sadzili się na pochwały dla młodej gosposi za wyśmienicie przyrządzony obiadek.

Zwłaszcza pan Szaława unosił się nad każdą potrawą. Chwalił, dobierał po raz drugi, wykrzykując:

— Jak Boga Kocham!... palce lizać... W kącie stara Chojnacka, choć także słynne nalewki robi! Jak honor szanuje! to mi gosposia!

Panią Jadwigę żenowały cokolwiek te przesadne pochwały, bo obiad był zwyczajny, gospodarski, ale pani Tekla rosła, słuchając, i pełna dumy macierzyńskiej, uśmiechnięta, skinieniem głowy potakiwała słowom Szaławy. Krzys promieniał poprostu, a i radca Proński uśmiechał się pod wąsem z zadowolenia, ale, lubiąc się z natury przekomarzać, wtrącił nawiasowo:

— Tak, tak! znać rękę... Gęgarzesi...

— Przepraszam! — zaprotestowała Jadwinia — przepraszam: ojczulka... Ja sama z Jacentym... Gęgarzesia wypoczywa po drodze.

Stała zaraz energicznie w obronie córki matka, więc radca, odparty z dwóch stron, śmiejąc się do rozpuku, wołał:

— Kapituluję! bo ktoby tam babę przegadał!

I uderzywszy się w piersi na znak skruchy, wyciągnął pusty talerz przed siebie, mówiąc:

— Dołóż-no mi jeszcze kawalek, Jadwiniu.

Był to rodzaj pokuty za przewinienie.

Po obiedzie panie zakrzętały się około przygoto-

wań na dzień jutrzejszy. Stoczono walną naradę, w której brała również udział Gęgarzewska i kucharz Jacenty. Krzys zaś, wyprawivszy natychmiast posłańca do miasteczka z konotatką po różne sprawunki, w złotym humorze wrócił do grających w pikietę teścia i Szaławy.

O szarej godzinie grę przerwano, błysnął ogień na staroświeckim z zielonych kafli kominku, i wszyscy trzej panowie, wpatrując się w trzaskające głownie, cięli gawędę na temat różnych gospodarskich kłopotów i zachodów.

Nad wieczorem nadjechał pan Barszczewski, wuj Ożgi, zwany od powtarzanego często przysłowia „Tu i tam“, ten sam, który siostrzeńcowi za swata służył. Kompania się zwiększyła i rozmowa, i tak ożywiona, potoczyła jeszcze raźniej.

Już i wówczas przejawiała się potrzeba zwiększenia wypłodności ziemi, więc pan Barszczewski, gospodarz zawołany, wszczął kwestyę nawożenia, przedstawiając jasno konieczność zwrócenia ziemi tego, co się z niej czerpie.

Radca Proński z Krzysiem słuchali uważnie racjonalnych wywodów starego Marymontczyka, co jeszcze pod Oczapowskim praktykował. Szaława potakiwał, lecz nie mogąc ścierpieć długiego milczenia, w końcu zabrał głos i, jak zwykle koloryzując, zaczął prawić na tenże temat:

— Już-to, Bogiem a prawdą, daleko nam jeszcze do zagranicy. Słusznie twierdzi sąsiad dobrodziej — zwrócił się do Barszczewskiego — że u nas pod względem... jak się to zowie?... storkoryzacyi pozostaje jeszcze wiele

do zrobienia. Skarby, skarby marnujemy dobrowolnie...

— Przesadzasz książę! Gdzie znów!? — zaprzeczył gospodarz.

— Jak cię kocham, prawda! — odparł — ot! niedaleko szukając...

Tu obejrzał się, a dostrzegłszy gawędzące w sąsiednim pokoju panie, zniżył głos i prawie szeptem dokończył zaczętego zdania.

— A w Holandyi, panie! — perorował dalej półgłosem — to każdy Holender, wychodząc z domu, bierze na wszelki wypadek szaflik na plecy, aby w drodze nie uронić. Słowo honoru!

Zaśmiali się słuchacze.

— „Książę“ po swojemu koloryzuje — napomknął Barszczewski.

— Słowo honoru! na własne oczy widziałem — upewniał Szalawa. — Więcej powiem! W niektórych okolicach podczas sadzenia tulipanów jedzą kaszę z rycynusem i cała wieś wychodzi na pole od sąsiada do sąsiada... To też rezultaty są! — dodał z przekonaniem.

Głośny śmiech zagłuszył ostatnie słowa. Proński chichotał aż do łez, Barszczewski również, a Oźga, porwawszy Szalawę w pól, począł wykrzykiwać:

— A niechże „księcia“ nie znam! A to sposób! cha! cha! cha! Wypróbujże go „książę“ na Zabłociu... Cała okolica przyjedzie podziwiać... tylko kobiet nie spraszaj! cha! cha!

Pan Szalawa silił się na powagę, dusząc śmiech w sobie, ale widocznym było, że długo nie wytrzyma.

Wydał policzki, wargi zacisnął, oczy wylupił i, wyrwając się z objęć Krzysia, powtarzał tylko:

— Kiedy bo z wami poważnie rozmawiać niepodobna!

Wreszcie nie wytrzymał i parsknął śmiechem tak gwałtownie, że Oźga wypuścił go z ramion i w bok odskoczył.

Właśnie zwabione wykrzyknikami panie nadeszły z drugiego pokoju, więc pan Szalawa, przez gwałt zapamięnowawszy na sobą, zrobił marsa i, niby oburzony, jął przedstawiać:

— Śmieją się z Szalawy, gdy czasem coś palnie, pani radczyni dobrodziejko! — mówił, zwróciwszy się do pani Tekli — śmieją się, gdy coś mądrego powie. Dogódźże tu ludziom! Opowiadałem właśnie kochanym sąsiadom o fabrykacyi trociczek... z trocin... widziałem na własne oczy za granicą! I... kpią sobie ze mnie, choć wiadomo, że żywica pachnie, a w trocinach...

— Kwituję z takich trociczek! — przerwał Proński, biorąc się pod boki — kwituję! Chodź, Teci, to ci powiem...

I zaczął szeptać żonie na ucho.

Pani Tekla słuchała z początku uważnie, ale po chwili odsunęła się raptownie, wołając:

— A fe!... kto widział! a fe!

Oźga znów roześmiał się na cały głos.

— Jadwiniu! a tyś nie ciekawa? — spytał, chichocząc.

— Dowiem się od mamy — odpowiedziała, rumieniąc się cokolwiek.

— Protestuję! — huknął Szalawa — protestuję!

— Dlaczego? — zaśmiała się Krzysztofowa.

— Bo to z kobiecem gospodarstwem nie ma najmniejszego związku.

— Przepraszam „księcia“... ale tulipany, tu i tam, to przecie niewieścia rzecz — wtrącił półgębkiem pan Barszczewski.

Żachnął się przyparty do muru Szalawa, nabuńdził i już na seryo gniewny odciął:

— Tu i tam... tu i tam! Właśnie, że tu i tam, ale trzeba wiedzieć, gdzie! Ot co! Co między nami... to między nami... Lecz dla kobiecego ucha... jeszcze takiego uszka!...

Urwał, wskazując Jadwinę oczyma, i po chwili dokończył motając wąsa:

— Od nikogo nauk nie potrzebuję!

Więc Ożga, widząc, iż Szalawa obraził się istotnie, zaczął mitygować.

— Dajże „księżę“ pokój! Kto znów kogo uczy? Zwyczajnie pośmieliśmy się trochę i koniec... Wielkie rzeczy!

— Proszę się nie gniewać, przecież nic mi nie powiedziano — wtrąciła Jadwinia...

— A to lepiej utnijmy preferans! — zaopiniował Proński i, ująwszy Szalawę pod jedno, a Barszczewskiego pod drugie ramie, pociągnął obu antagonistów do stolika.

Przy kartach wróciła zgoda, tylko pan Szalawa, ćwikując od czasu do czasu, przedrzeźniał:

— Dyabli wiedzą, czy atu na jednej ręce, czy tu i tam?

I spoglądał z pod oka na Barszczewskiego.

Panie wobec nawału zajęć, wywołanych zapowiedzianym zjazdem, pragnąc się wywczasować, poszły spać wcześniej, oni zaś grali, popijając węgryzna, daleko w noc, ku wielkiemu zadowoleniu Szalawy, któremu karta szła, jak nigdy.

Tegoż wieczora, po szabasie zaraz, Lejzor Szpic, pachciarz z Kościeszówki, wyruszył do miasteczka, a o świcie był już w mieszkaniu Symchy Rajzmana.

III.

Jeszcze raz rozbrzmiał w powietrzu głos sygnaturki, ścichły organy i lud zaczął się wysypywać z kościuszwowskiego kościółka, niby wiązanka kwiatów z kosza. Mężczyźni w odświętnych strojach, czapkach czerwonych lub magierkach, w sukmanach i kapotach w deseń „siutasem“ szytych, w kierezyach centkowanych, kobiety w różnokolorowych chustkach na głowie, suto błyszczącymi szpilkami utkanych — rzekłbyś, przymrużywszy oczy: maki, bławaty, ostromlecze wyrosły, mimo śniegu, na podkościelnym okólniku i, dziw nad dziwy! chodzą, ruszają się, gromadzą w równianki, w wieńce splatają.

Gdzeniegdzie między jaskrawymi barwami migał czarny przyodzievek dworskiej służby, zaświecił liberyjny galon lokaja, zaczernił się kaszkiet ekonomski.

Lud skupiał się w gromadki, przystawał, wyczekiwał, gwarzył, zwracając oczy ku plebanii, jakby się coś ciekawego dojrzeć spodziewał.

Jakoż za chwilę otworzyła się boczna furta kościo-

ła i na ścieżce, wiodącej do plebanii, zjawił się liczny orszak pań i panów z miejscowym proboszczem, co jeszcze panu Krzysztofowi Chrztu Świętego udzielał, w środku.

Parafia kościeszowska, sama przez się liczna, bo do niej należało kilkanaście wiosek i przysiółków, leżąc przy bitym trakcie, miała szczęście i do nabożnych, zamieszkałych, jak się proboszcz wyraził, in partibus infidelium. Miało to oznaczać, że nie tylko sami parafianie zbierali się na nabożeństwo w kościeszowskiej świątyni.

Często gęsto był tłok taki, że miejsca w ławkach brakowało i część przybyłych musiała się mieścić w zakrystyi.

Dziś właśnie napływ obcych owieczek był nader liczny.

Goście, chcący niespodzianie nawiedzić młode małżeństwo, stawili się prawie wszyscy w komplecie. Prócz tego było wiele osób, których prosta ciekawość ujrzenia pani Krzysztofowej przywiodła.

A że wiedziano, iż napewno w kolatorskiej ławce zasiądzie, więc nic dziwnego, że kto żyw śpieszył na sumę, aby tak dobrej sposobności przyjrzenia się z bliska nie utracić.

Tłumno też i tłoczno było w zakrystyi po nabożeństwie. Ożga, zaprezentowawszy księdzu kanonikowi, bo ksiądz Tomasz już od lat kilkunastu był kanonikiem kapituły, swoją żonę, poprosił na obiad do dworu.

Kanonik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, ale postawił warunek:

— Zgoda! ale i mnie się coś należy. Proszę do siebie na „rzdokiewkę“... Nowalijka... Potem służę, lecz od tego nie odstąpię — upierał się i, ujawszy nową „owieczkę“ pod rękę, szedł, pomimo niejakiego oporu ze strony Ożgi, na plebanie, a za nim całe grono obecnego obywatelstwa.

Daremnie pan Krzysztof przedstawiał:

— Księżę kanoniku dobrodzieju! Innym razem... specjalnie. Toż nasz święty obowiązek! Teraz narobimy subiekcyi... tyle osób!...

Proboszcz machał tylko ręką, powtarzając:

— Ta! ta! ta! a ja mam i nie puszcę!

Jakoż nie puścił nikogo, póki nie zmieciono półmiska świeżo wyrwanej z inspektu rzdokiewki, prócz mnóstwa innych przekąsek, zakropionych wyborną nalewką.

— A teraz nie zatrzymuję. Komu w drogę, temu czas! — mówił, kontent z postawienia na swoim staruszek, wkładając lisie futerko.

— Komu w drogę, temu czas! — powtarzał. — Widzę, zresztą, że kolator węża gryzie... No, no! Krzychu, darujże staremu natarczywość, daruj!

Ożga istotnie niecierpliwiał się trochę, ale nie wypadało tego okazywać, więc usłyszawszy ekskuzę kanonika, w miejsce odpowiedzi, pocałował go z uszanowaniem w ramię. To samo uczyniła pani Krzysztofowa.

Zaczęto tłumnie wychodzić z plebanii, dążąc do sank, ustawionych szeregiem popod kościelną bramą.

— Już idą, idą! — dało się słyszeć tu i owdzie w gromadkach wyczekujących włóścian.

I fala głów, jakby wiatrem pchnięta, pochyliła się w stronę idących. Zabrział pogwar głosów, szmer napelniał powietrze:

- Śwarna szlachcianka!
- Niczego! niczego!
- Młodziutkie widać to jeszcze...
- A to starzy...
- I nasz dobrodziej z nimi...
- A gości, jak napra!
- I to wszystko do dworu!
- Dopiero będą hulać!
- Ho, ho! „Naszemu“ aż się oczy świecą...
- I Zabłocki jest! Tego nigdzie nie brakuje!

Ostatnie słowa odnosiły się do pana Szalawy, który, z galanterią podsadziwszy panią Święcianańską do sanek, przystanął, oczekując z kolei swego ekwipażu i, wytykając palcem, liczył:

— Raz, dwa, trzy, sześć, osiem, piętnaście!... Ho! ho! objemy Kościeszówkę z kretesem!

Poczem wskoczył do sanek i, zamykając orszak, ruszył za sznurem sani ku dworowi.

Niebawem w kościeszowskim dworku zahuczało, jak w ulu na wyroju.

Pani Krzysztofowa z matką, zaledwie wysiadłszy z sanek, co prędzej pobięły zarządzić około obiadu, a Krzyś z teściem i Szalawą, który sam się wice-gospodarzem mianował, starali się tymczasem gości zabawić.

Więc Ożga, zgoniwszy kawaleryę do panien, a star-

sze panie i mężatki zwierzywszy pieczy pani Jangrotowej, która ochotnie pośpieszyła „kochanemu szwagierkowi“ z pomocą, dobył zapleśniałego gąsiorka i, nie tracąc czasu, nalał kryształową lampkę, wołając:

— Zdrowie kochanych gości! W ręce księdza kanonika dobrodzieja!

— Czy to aby dobrze przed obiadem? — zauważył mimochodem pleban. Nie czekał jednak odpowiedzi. Przepił do radcy Prońskiego, ten do Barszczewskiego, Barszczewski do Chojnackiego ojca i tak szło kolejką po starszeństwo, aż do pana Szalawy.

Tego tylko czekał „książe“. Ujawszy gąsiorek, podniósł do góry, pod światło.

— Kto pije ostatki — huknął — bywa piękny i gładki!... W ręce twoje, Bortnisiu! Dobry znak! jak raz lampka, i finis! Będzie weselisko... już ja wiem! tylko się moim rozumem nie kieruj, bo pokpisz sprawę...

Tu spojrział w stronę Julki Warkówny i mrugnął.

Zaczepony Bortnicki już chciał za przymówkę odplacić pięknem za nadobne, tem bardziej, że pan Szalawa zbyt często sobie pokpiwał z niego, ale w tymże momencie zbliżyło się do kółka męskiego kilka panien, a między niemi owa panna Julia, do której od roku wzdychał.

Dał więc pokój swarom, wychylił duszkiem i, zwróciwszy się do stojącego opodal pana Barszczewskiego, przemówił:

— „Książę“ narzuca mi się za swata, ale ja wołałbym „ciotkę“ Fogłową o to poprosić, niż jego. Co

innego pan dobrodziej... do kolan się skłonię, a przyjdzie czas, o przemówienie za mną słowa poproszę...

— Z serca! z serca usłużyć! — odrzekł Barszczewski i po cichu dodał: — Masz gust, chłopcze! masz! Dziewczyna jak lasica! Czarnobrewa, tu i tam! krew z mlekiem.

Spojrzał na Warkównę. A ja, jakby przeczuła, iż o niej mowa, pons oblał, skryła się szybko za towarzyski, ukradkiem tylko kędzierzawą główkę ukazując.

Pogonił za nią wzrokiem rozkochany Bortnicki, a ona, to wychylała się, to zerkala, niejako bawiąc się w chowanego.

Co widząc, Szalawa rzekł:

— Wszystko to dobre, ale obowiązek przedewszystkiem! Krzychu! Jeszcze wina! „lub szumówki, gdy nie starczy kościeszówki!“

— Dla kochanych sąsiadów zawsze starczy! — odrzekł nagabnięty, śpiesząc z nową butlą.

— Sąsiedzie Bortnicki! na tobie się urwało... Proszę!

Więc Bortnicki, rzuciwszy okiem po obecnych, wyciągnął nalany kubek ku Franiowi Chojnackiemu, mówiąc:

— Vivat sequens! jak nas to w szkołach uczono! Palnij, Franek!

— Ten skończył, ten zaczyna, obaj o obrączce myśla — wtrącił Szalawa i zaśmiał się na całe gardło.

Namarszczył się młody Chojnacki, wreszcie, podnosząc kubek do ust, rzekł chmurno:

— Wypić mogę, ale o obrączce nie myślę!... Przepadło!...

I zaśmiał się kwaśno.

Wszyscy z łatwością pojęli, co chciał przez to powiedzieć. Zaczęto chrząkać, szeptać i mimowolnie oczy zwróciły się w stronę drzwi, prowadzących do jadalni, w których właśnie ukazała się idąca do gości pani Jądwiga z matką.

Ozdze poszły w niesmak Chojnackiego słowa. Przykro mu było, że nawet teraz, kiedy już klamka zapadła, ludzka zazdrość nie daje mu spokoju. Spochmurniał, w siwych źrenicach błysnął odcień gwałtownego gniewu, przygryzł wargi i pomyślał:

— Żeby to tak nie w moim domu, dałbym ja ci! Cóż to! czy pod nim dołki kopalem, czy co?... Przyjechał na zabawę, a kracze jak na pogrzebie! Nie ożeni się... a mniejsza o to! Czy to taki cenny namiastek Chojnaccy!?...

I burzył się tak w sobie, ale, pomny obowiązków gospodarza, nie wybuchnął, tylko, ujawszy Bolka Witrzyckiego pod ramię, zaczął o czemś pośpiesznie rozmawiać, umyślnie na Chojnackiego nie zważając.

A Chojnacki, wypiwszy, jeszcze powtarzał uporczywie:

— Co mi tam po ożenku! Przepadło, przepadło!

Miał przytem twarz tak smutną, a w oczach tyle głębokiego żalu, że nawet Ożga, spojrzawszy na niego ukradkiem, ochłodził i począł go w duchu żałować.

— Sprzątnąłem mu taki kasek z przed nosa... Nic

— Przytknijże choć buziaczka na podziękowanie!
Więc pani Jadwiga, podniósłszy z wdziękiem kieliszek ze słowami: „na podziękowanie!“ przechyliła w tył główkę, ukazując białą jak alabaster szyjkę, i, krztując się, wypila do dna.

— Brawo! brawo! — wolali mężczyźni. Poczęto klasnąć w dłonie, cisnąć się ku rozpromienionej Krzysiowej i sprowadzać pragnące uniknąć toastów inne panie.

Pily więc, rade nierade, najpierw mężatki, następnie dobrano się do pańien. Podochocona młodzież żadnej nie dawała pardonu. Każdy pilnował sercu milej, zapobiegając dezercyi, a najbardziej Bortnicki, mający Julkę Warkównę ciągle na oku.

Stanąwszy we drzwiach, przebierał nogami z niecierpliwości, oczekując swojej kolei.

Doczekał się wreszcie. Ksiądz kanonik, który się także w kole młodzieży znalazł, podmówiony przez Krzysiową, podsunął się z kieliszkiem do kryjącej się w kątku Julki i, spojrzawszy w stronę Bortnickiego, rzekł:

— Muszę kogoś wyręczyć, co radby, lecz się boi!

— Vulgo tchórzy! — poprawił Szalawa.

— I nieboja wilcy zjedli — odcięła rezolutnie Warkówna.

— Słyszysz, Bortnisiu! — huknął Szalawa.

Ale Bortnicki już nie słyszał, bo ujrawszy proboszcza przed Warkówną, sunął jak oparzony, aby stanąć w porę.

Kiedy przeto kanonik, dopowiedziawszy zdanie, wypił, już Bolek trzymał za kieliszek, wołając:

— Ksiądz kanonik się nie liczy! Za nic nie pozwalam! Panno Julio! proszę ode mnie...

— Jak nie liczyć, to nie liczyć — rzekł wesolo, ustępując zaraz miejsca Bortnickiemu, kanonik. — Juści, co racya, to racya!

Panna Julia pokraśniała, zmarszczyła brewki i ni by z dąsem przyjęła z rąk Bortnickiego kieliszek.

Upiła do połowy.

— Wołałabym od księdza kanonika — rzekła, ale uśmiech mówił co innego.

— Dowiem się, czy to prawda! — odrzekł żywo Bortnicki i, nie prosząc o pozwolenie, pochwycił z jej rąk niedopity kieliszek, przechylił i, pokazując dno próżne, szepnął półgłosem:

— Będę wiedział najskrytsze myśli...

— U mnie, co w myśli, to w mowie — odcięła.

— To się pokaże. Zdaje mi się, że nie zawsze...

— Taki pan podejrzliwy?

— Bo paniom nigdy w zupełności wierzyć nie można. Już król Salomon...

— Musiał pan mieć dobre stopnie ze „Starego Testamentu“ — przerwała z przekąsem i roześmiała się.

— I z „Nowego“ także — zażartował. — Z katechizmu również. Zwłaszcza o sakramencie małżeństwa pamiętam do dziś na wrywki.

Warkówna wydeła różowe wargi, jakby powiedzieć chciała: „Tyle twego, co ze szkół pamiętasz“, i chichotnęła na cały głos.

Więc pan Barszczewski, który już czas jakiś gru-

chającą parę miał na oku, rzekł do siedzącej opodal Prońskiej:

— Zdaje mi się, że tu i tam będziemy mieli nie-
dlugo weselisko. Bortnicki przypiał się jak kleszcz i na-
ciera...

— Dałby Bóg! Taki miły człowiek, tylko sobie do
niego coś upatrzone — odrzekła pani Tekla.

— To ten kpiarz Szalawa! Każdemu łatkę przy-
pnie! Wziął Bortnickiego na fundusz, choć sam mu nie
wart butów czyścić — objaśnił pan Barszczewski, siada-
jąc obok pani Kwirynowej.

Barszczewski Szalawy nie lubił. Nie podobało mu
się życie „księcia“, spędzane na hulatykach i grze w kar-
ty. Nierad był też jego zażyłości z Krzysiem. Osobi-
ście przedstawiał nieraz siostrzeńcowi, że częste obco-
wanie z Szalawą może mu z czasem wyjść na nieko-
rzyść, teraz zaś chciał skorzystać ze sposobności i po-
średnio wpłynąć przez panią Prońską na Jadwinę, aby
się postarała męża z pod zębego wpływu Szalawy
usunąć.

Jako wuj Oźgi, czuł się w zupełności do tego upra-
wnionym, wiedział zaś, że najlepszą drogę obiera, wpły-
wając przez matkę na Jadwinę, a przez Jadwinę na
Krzysia.

Zaczęto przeto oględnie:

— Szalawa nikomu nie daruje, bo u niego fiu-fiu
w głowie. Człowiek lekki, bez najmniejszego zastano-
wienia, fortunę przeszystał, siedzi na obdłużonem Za-
błociu, jeździ od komina do komina i błaznuje... Wie

pani dobrodziejka, że ja nawet nierad bardzo jestem, że
Krzyś żyje tu i tam z nim w takiej przyjaźni. I to
paliwoda, młody... a Szalawa nie powstrzyma, jeno za-
chęci. Mało to nadokazywali za kawalerskich czasów?!
Krzyś i w polowie nie winien... Teraz... mam nadzieje,
że się ustatkuje; wolałbym jednak tu i tam, żeby tu
Szalawa rzadziej zaglądał. Nie mam nic przeciwko jego
osobie, Boże uchwaj! ale zawsze człowiek lekki...

Prawił tak dość długo, a pani Tekla potakiwała,
wzdychając i obiecując sobie w duchu skorzystać z u-
słyszanych przestrog.

Tymczasem kieliszki krążyły w dalszym ciągu, cho-
ciaż już wyłącznie w męskim kółku, aż wreszcie wy-
strojony odświętnie Wawrzyniec dał znać, że obiad na
stole.

Zrobił się rumor. Poskoczył Krzyś, zakreśliła się
między paniami Jadwinia, poczęto dobierać się w pary
i ruszono do jadalni. Korowód otwierał ksiądz kanonik,
wiodący panią Kwirynową, dalej inni po starszeństwie,
a tak się jakoś złożyło, że ociągający się umyślnie
Bortnicki, znalazłszy się obok Warkówny, poprowadził
opierającą się nieco Julkę do osobnego stołu, przerna-
czonego dla panien i młodzieży.

Że już od przedobiedniej wypitki niejeden miał „cze-
remere“ w głowie, a Krzyś po każdej potrawie wina
podlewał, więc ochota coraz bardziej wzrastała, rozma-
wiano coraz głośniejszemi, hałaśliwiej. Krzyżowały się pyta-
nia, odpowiedzi, sypały dowcipy, jedni drugich chcieli
przegadać. Huczało przy stole, jak na gościńcu, na któ-
rym szereg ciężkich wozów ciągnął turkot sprawia, i tyl-

ko, jak wtedy, kiedy koło o wystający kamień uderzając, silniejszy odgłos wydaje, tak z tego chaosu głosów donośniej rozbrzmiewały wykrzykniki wnoszonych toastów i brzęk trącanego mniej pewnymi rękoma szkła.

Po leguminie z „piramidą“ panowie, zwłaszcza starsi, zaczęli sobie „pozwalać“ do tego stopnia, że panny i młodsze meżatki, piekąc raka, nie doczekawszy końca, umknęły do drugiego pokoju.

Stopniowo dezercya od stołu wzrastała, bo za pannami poszła młodzież, ale stara gwardya dotrzymała placu do ostatka, ku wielkiemu zadowoleniu Oźgi, który, na „dobitek“ postawiwszy starego miodu, zacierał ręce, a każdego z osobna zachęcał, wymyślając przenajróżniejsze okazy.

— Noga, ręką nie ruszą! — radował się w duchu.

I rzeczywiście, niektórych zaraz po obiedzie wypadło zaprowadzić na „siano“, rozesłane na przewidywany wypadek w oficynie, większość jednak nie kapitulowała jeszcze, choć niejednemu i język i nogi płały się na dobre.

Nie ruszano też z jadalni, gdzie służba, uprzątnawszy nakrycie, stoliki do kart rozstawiła.

Złożyło się kilka partyjek preferansa. Grano jednak bezładnie, wpadając, licytując fałszywie, bo głowy ciężły, a myśl kombinować nie mogła.

Ale gawędom nie było końca. Niekrepowani już obecnością kobiet panowie poczęli brać młodego małżonka na egzamin, przytaczając zarazem wspomnienie własnych miodowych miesięcy.

Rozochocony Oźga odcinał się dowcipnie, czasem sam zartem strzelił, drugich zaczepiając.

Zacząto go prześladować jakąś Kasią, czy Marychną. Najbardziej dogadywał pan Jangrot.

— Już to z bestyi Krzyszka — mówił, cokolwiek przez nos zatracając — ludoznawca nielada! zwłaszcza generis femini... Miał do spódniczek szczęście, jak nikt!

— Nie tak wielkie znów, skoroś mi szwagier sam rekuzę woził — odparł, uśmiechając się, Oźga.

— Jakto? — spytał Słotwiński — nie rozumiem!

— To cała historia! — zabrał głos Jangrot i opowiadał: — Jak wam wiadomo, bo i obecny tu pan Barszczewski poświadczy, kiedy się Krzys o Jadwinę zaczął starać, początkowo na dwoje babka wróżyła. Była nawet chwila, że mu w Prońsku niebardzo radzi byli, bo się kawalerskich grzechów obawiano. A właśnie wtedy Krzys najbardziej dopinał i pannę bałamucił. Więc mówi mi teść: „Słuchaj-no! przejedź do Oźgi i daj mu delikatnie do zrozumienia... że z tego nic nie będzie, żeby się napróżno nie trudził...“ Najlepiej będzie (radził), gdy mu powiesz... że, panie tego!... Jadwinia...

— Słowem, kazał szwagrowi powiedzieć mi: nie dla psa kielbasa — dopowiedział Oźga.

— No i cóż się stało? — pytano.

— Co się stało? Słuchajcież! Rad nierad, pojechałem z tym pasztetem, chociaż, Bogiem a prawda, żal mi było Krzycha! pojechałem... i mniej więcej wygadałem wszystko, zasłaniając się, jak mi kazano, Jadwinia, aż on... panie!...

— Ja! — zawołał wesoło Oźga. — Ale... niechże szwagier mówi dalej!

— On... panie! łap za burkę i na mój wózek! bo koniom nie kazałem odjeżdżać, i dalejże do mnie: „Pojadę z panem i sam się panny o to zapytam!“ Ciarki mię przeszły! ale nie było rady... Prawie gwałtem zaciągnął mię z sobą i, jak rzekł, zrobił!

— Tylko rezultat był nieco inny! cha! cha!

— Zapewne... bo tegoż wieczora zamienili pierścionki — dokończył pan Jangrot. — Taki szelma... jak kot... zawsze na łapy spadnie! Na własnym mym wózku go zawiozłem...

— Jednakowo przyznam się — zaczął teraz Oźga, — że mię poselstwo Jangrota z nóg ścięło. Powiedziałem sobie co będzie, to będzie! Ale pietra miałem nielada... Chociaż — tu namarszczył się — w razie przegranej, byłbym jeszcze Jadwisi konkurentom porządnie skóry nadziurawił.

— Już jabym tam nie konkurował — pomyślał pan Szalawa: — koty na sztych kulą wali!

— Naszpikowałbym ołowiem niejednego! — odgrażał się Krzyś. — U mnie tak!

— Łatwo ci teraz brawurować, skoro miałeś takiego sprzymierzeńca — odezwał się na to stary Chojnacki, wskazując ręką na drzwi.

W odrzwiach stała Krzysztofowa, z błyszczącym uśmiechem w oczach, promienna jak zorza, zarumieniona, jak świt wiosennego poranku. Widocznie musiała dośłyszeć coś z prowadzonej rozmowy, bo potrząsała złotą

główką, jakby zdziwiona, i żartobliwie groziła palcem mężowi.

— Proszę cię, Krzysiu, na chwilę — rzekła wreszcie. A jemu mars znikł z czoła i w jednym skoku znalazł się już przy niej.

Szepnęła coś na ucho i z przymileniem spytała:

— Pozwolisz?

— Z chęcią! z chęcią!

Zaczęli z sobą półgłosem rozmawiać, stojąc w progu.

— Przepraszam kochanych państwa — odezwał się po chwili Oźga. — Mam z moją panią maleńką konferencyjkę...

— Służba wolność traci! — zaśmiał się Szalawa, a drudzy zaczęli wołać:

— Prosimy! prosimy, bez ceremonii!

Zaczem obydwójce wyszli, kierując się do salonu, gdzie młodzież z pannami zabawiła się w cenzurowane.

Na krześle, ustawionem w pośrodku, siedział właśnie Bortnicki. Stał przed nim Bolek Witrzycki, na którego kolej „obchodzenia“ wypadła, i mówiąc: „bywałem po różnych krajach, słyszałem o złych i dobrych obyczajach...“, wyliczał różne o Bortnickim zasłyszane opinie.

Bortnicki słuchał z udaną powagą, czasem przygryzł wąsa, czasem zasłonił dłonią usta, tłumiąc śmiech w sobie...

Uczestnicy witali każdy trafniejszy docinek głośnym śmiechem. Gdy wreszcie Witrzycki, rachując na

palcach, aby się nie omylić, wygłosił: „...inni mówili, żeś już dwanaście odkoszów dostał, a jeszcze o trzy-nastym myślisz...” — porwał się Bortnicki z miejsca, wołając:

— Dość! dość! Proszę tego, kto to powiedział. Kalumnia! jak honor kocham, kalumnia!

I powiódł wzrokiem po obecnych, upatrując winowajcy. Jakoż nie czekając na wskazówkę Witrzyckiego, odgadł niebawem i szedł prosto do Julki Warkówny, powtarzając:

— Proszę! proszę! Odplacimy pięknem za nadobne... Proszę o fant i na środek!

Panna Julia, skureczywszy szyjkę, że aż okragła bródką o alpagowy stanik zatarła, trzepotała rękoma przed sobą, broniąc się tak właśnie, jak nietolne pisklą, dobywane z gniazda. A on następował coraz bliżej, nacierając obcesowo i wołając:

— Fant! fant! dobrowolnie lub bez woli sam wezmę!...

I chwyciwszy drobną rączkę, począł coś około serdecznego paluszka, na którym błyskał turkusowy pierścionek, majstrować.

Wyrwała się niby nadąsana Warkówna i, odskończywszy, ułożyła z piąstki figę, a potem, wydobywszy z kruczych splotów szyldkretową szpilkę i podając ją z daleka natarczywemu Bortnickiemu, mówiła z przekąsem:

— Przyda się przypiąć świeży koszyk...

— To się jeszcze pokaże! — rzucił hardo i, nie

poprzestając na fance, podsunął się znów bliżej, ujął opierającą się Julkę pod rękę i wiódł na środek z odgrózkami:

— Dopiero panna Julia rączka spieczę, jak ja coś powiem!

— O! nie boję się! — odrzekła i zasiadła na poprzednio zajmowanym przez Bortnickiego krześle, nerwowo układając fałdy sukienki, bo jej się serdecznie śmiać chciało.

Bortnicki zaczął „obchodzić“, raz po raz na wiercącą się na cenzurowanem Julkę spojierając. Wzrokiem zdawał się mówić:

— Przytrę ja ci, kotku, pazurków!

Już był obszedł połowę grających, gdy rozmawiająca dotychczas z gospodarstwem Ewka Warzyńska, piętnastoletni podłotek, dziewczyna krew z mlekiem, a trzpiot wielki, wybiegła na środek pokoju, wołając:

— Pan Oźga prosi, żeby sądzić fanty, bo później będzie co innego...

Czepiła się tego najpierw Warkówna, powstając szybko i, poskrobawszy „marchewkę“ Bortnickiemu, zaczęła biegać w podskokach po salonie, nawołując:

— Sądzić fanty! sądzić!

— Sądzić! sądzić!... — potaknięto, mimo protestu Bortnickiego, który, stanąwszy pod piecem, ręce załamał, udając znakomicie zmartwionego.

Więc pani Kotarska, której pieczy zebrane fanty zwierżono, sięgnąwszy ręką do trzymanego na podolku porcelanowego koszyczka, przysłoniętego jedwabną zarzutką, zaczęła tajemniczo:

— Co mam zrobić z fantem, który trzymam w ręku?...

— Niech most buduje!

— Niech bukiet zwija...

— Niech się każdemu inaczej ukloni!

Wotowano chórem. Ale pani Kotarska, nie dobywając fantu, rzekła:

— Proszę sądzić po kolei... Każdy będzie miał głos. Najpierw gospościa... Jadwiniu! — zwróciła się do Krzysztofowej — jaką karę wyznaczasz?

— Niechaj nam co zaśpiewa — osądziła Krzysio-wa, myśląc, że los padnie na Manię Święcianowską, obdarzoną bardzo pięknym głosem.

Kotarska poczęła przebierać w koszu, wreszcie wydobyla ładnie haftowany z turecka... kapciuch!

— To pan Witrzycki!

— Bolek Witrzycki!

— Prosimy do fortepianu...

— Inaczej fant przepadnie! — krzyczano wśród śmiechu i chichotu, wiedząc, że Witrzyckiemu tak do śpiewu, jak kozie na organistę.

Ale Bolek nie dał się prosić, Z najlepszą miną zasiadł przy instrumencie i, brzdąkając jednym palcem, zanucił:

„Wlaził kotek na płotek i mruga —

Ładna to piosneczka, niedługa...”

— Szczęście! że niedługa — podchwycił wchodzący Szalawa — boby nam bębenki w uszach popękały!

Pogroził mu z daleka Witrzycki, a pan Szalawa,

któremu po odejściu Krzysia rozmowa ze starszymi poczyniała się przykrzyć, wmieszał się teraz między pauny, dowcipkując, podpowiadając przeróżne „kary“, ku wielkiej ucieście panińskiego grona.

Doradzał zaś wszystko na opak.

Więc Ewce Warzyńskiej, że jej się zwykle usta nie zamykały, naznaczono „mruczka“, Józkowi Kotowiczowi, szepleniącemu cokolwiek, kazano deklamować, zaś utykający na nogę pan Słotwiński musiał tańczyć krakowiaka.

Puścił się rad nierad szlachcic, zaprosiwszy Julkę Warkównę w taniec, a że był z natury niezręczny i w dodatku tak otyły, że każde ubranie leżało na nim, jakby z młodszego brata pożyczone, więc pan Szalawa, przeдрzeźniając: „Kuśtyk... kuśtyk“, dreptał za nim, przyspiewując:

„A z daleka wedle ściany,

Bo to fraczek pożyczany...

I halsztuczek nie twój własny,

Bo na szyi ci przyciasny!”

Odtńczył wreszcie swoje, raz okrzykując salę; pan Słotwiński, poczem z porządku on osądził fant Julki Warkówny; kiedy zaś na nią kolej wydawania wyroku przypadła, dziewczyna, podbiegłszy do pani Kotarskiej, coś jej cichaczem szepnęła na ucho.

Skinęła potakująco głową Kotarska i, zadawszy zwykle pytanie, czekała.

Wtedy panna Julia, niewiele myśląc:

— Niech powie trzy rzeczy do rzeczy, a trzy nie do rzeczy...

Pani Kotarska wydobyła pęk kluczyków.

— Pan Bortnicki! — zawołały panny.

— Bortnicki! — powtórzyła młodzież.

Panna Julia chichotnęła, a Szaława, złapawszy się za głowę, z udanym przestraczem wołał:

— Zgubiony człowiek! Bóje się Boga! opuście mu pierwszą połowę kary, bo do północy się nie wykupi. Niech lepiej mówi same „od rzeczy...” To jego wydział!

Zaczęto się śmiać do rozpuku z konceptu „księcia“, spoglądając na Bortnickiego. On zaś, nasrożywszy się, wyszedł z fantazyą na środek, pokrzykując:

— Właśnie, że powiem! właśnie, że powiem!...

I zaczął palcem pukać w czoło, namyślając się, co powiedzieć. Wreszcie zaczął:

— Najpierw „od rzeczy...” Zamiast trzech rzeczy „od rzeczy“, powiem: jedną osobę „od rzeczy“, co na jedno wychodzi... pan Szaława!

Głośny wybuch śmiechu zawtórował tym słowom. Mężczyźni zaczęli chwalić:

— Bravo! bravo! a to mu odpalił! cha! cha! cha!

Panny gziły się poprostu, piszcząc cieniutko, a Bortnicki, spojrzawszy z tryumfem na Szaławę, wziął się pod boki i jeszcze przypominał:

— Na jedno wychodzi... Na jedno!

Stropił się Szaława, bo choć sam ciągle kpil z innych, nie znosił, kiedy z niego kpiono i, jak zwykle w takich razach, zaczął się burzyć, kręcąc wąsa...

Wreszcie sunął ku Bortnickiemu z groźną miną, czerwony, jak podrażniony indyk. Sapał przytem przez nos i mruzczał:

— Ja ci pokażę „od rzeczy“!

Byłoby zapewne przyszło do jakiej awantury, bo i Bortnicki, mając w czubie, stanąłby niechybnie sztorcem, ale w tej chwili Oźga, który się był jeszcze podczas tańca Słotwińskiego z żoną wysunął, wbiegł pędem, otwierając drzwi na ścieżaj z okrzykiem:

— Panowie! panie! weselisko we dworze! Kto łaskaw na młoduchę... proszę!

Ukazał ręką w stronę czeladnej. A równocześnie zahuczały basy, dźwiękły skrzypce i przez otwarte na przestrzał pokoje doleciał śpiew:

„Wesele jedzie, matusiu! wesele jedzie...

Wezmę ci córeczkę! Cóż będzie? cóż będzie?“

— Co? gdzie? jak? — poczęto wołać i całe towarzystwo, śpiesząc z pokoju do pokoju, wbiegło do przystrojonej w świerkową zieleni izby czeladnej, witane przez cały korowód weselny.

Starym zwyczajem, szanowanym przez dwór i włość, świeżo pobrane stadło chłopskie przyszło do dworu po błogosławieństwo. Wiedział o tem pan Krzysztof i tak zawczasu wszystko urządził, żeby zebrany mi gościom sprawić miłą niespodziankę. Rozkazał tedy w czeladnej przygotować suty poczęstunek i oczekiwał, kontent, że pod swą strzechą na wstępie i sąsiadów i włościan równocześnie ugości. Przytem chciał i Kubie Stykowi, z któ-

rym się dzieckiem w „konie“ bawiał, usłużyć, jak mówił, na weselu. Życzenia męża podzielała Jadwinia w zupełności. Jakoż stało się, jak chcieli.

Goście, sypnawszy do czeladnej, z początku porzysiadali się na stołach, zostawiając wolny środek dla weselników. Ale Oźga z żoną, stanawszy nieopodal grajków, skomenderował: „krakowskiego“ i, chwyciwszy w pół zasłaniającą oczy muślinowym fartuchem młoduchę, puścił się w pierwszą parę. Kuba Styk z nieśmiałością skłonił się przed Jadwinią... Furknęła druga para, grajkowie pociągnęli od ucha, mignęły uniesione w górę czapki czerwone, brzękły podkówki, ośmieleni druźbowie rzucili się do panien, zapraszając do tańca, dziewczuchy poskoczyły w te pędy do panów, przybywała para za parą i krąg dłużył się, że aż zaczynało być przyciasno.

I szczerą ochota, zatarłszy wszelką różnicę, złączyła w jedno koło dwa stany, żyjące w odwiecznym sąsiedztwie na płużonych zagonach, w jednych świątyniach chrzczone, tem samym słońcem grzane, tem samym powietrzem oddychające.

Rzekłbyś, patrząc na wzorzyste gorsety druchen, fraki panów, na sukmany parobków, bufiaste suknie pań zmieszane razem, że dwa potoki o różnej barwy wodach, wirem porwane, ściekły w jedno łóżysko i już odtąd razem w dal płyną!

Przetańczono raz, drugi, trzeci, wreszcie pomęczone panie poczęły się wypraszać, panowie również popuszczali dziewczęta. Usadowiono się znów na stołach, stolokach pod ścianami, przyglądając się krakowskiemu

weselu. Ale początek był zrobiony, weselnicy bawili się teraz sami, hukając, przytupując, sypiąc śpiewkami, jakby na popis.

Znikła nieśmiałość, parobcy i dziewczuchy, przyspiwując, sadzili się na dowcip, stosując zręcznie różne aluzje i przycinki do przypatrującej się szlachty. Najczęściej dostawało się panu Szalawie, on zaś odcinał się czasami, równie dowcipnie odśpiewując. Nie tańczył jednak wcale, bo po kilkakrotnem przepiciu do „chamów“, nogi mu odmawiały posłuszeństwa tak, że czasami się ściany chwytął, zataczając. Daremnie prosił go kilka razy, obcałowując, Oźga, lubiący „księcia“ widzieć w ruchu; Szalawa, dobiwszy się wódka, odmawiał stanowczo, bełkocząc:

— Całuj... Krzychu! duszo! całuj! a ja i tak tańcować nie będę! Proś tego borsu...ka.. Bor... tnickiego...

Jakoż musiał go Oźga zostawić w spokoju, ale za to sam podmawiał dziewczęta, aby Szalawę na słówko wyciągały.

Znosił to Szalawa czas jakiś cierpliwie, często gestem nie dosłyszawszy, że do niego pito. W końcu jednak, choć po pijanemu, zrozumiał, że kpią z niego, ku uciesze całego towarzystwa. Zagniewał się.

Właśnie jedna z drużek, przystanąwszy przed dzieidzicem, śpiewała:

„U naszego pana okna malowane,
A u zabłockiego wiechciem zatykanie!“

Porwał się ostatkiem sił urażony „księżę“, podszedł z trudnością ku śpiewaczce.

— Łesz! — huknął. — Lagrowe szyby powprawiłem!

Wybuchnięto śmiechem.

— Kiedy od ogródu gołe futryny widać — krzyknął ktoś z boku.

— Bo... bo... psy wybiły — zabełkotał Szalawa.

W tej chwili od raptownego wysiłku i wzburzenia zrobiło mu się słabo, schwycił się rękoma za skronie i, niewiele myśląc, ruszył ku drzwiom, wiodącym na podwórze.

Zaszła mu drogę młoducha, starościny zaczęły dopraszać „na miski, na niecki...” Szalawa machinalnie sięgnął do kieszonki, wydobyl sakiewkę, wcisnął panie młodej za gorset i, slaniając się, wyszedł do podcienia.

Świeże powietrze wróciło mu trochę przytomności. Czuł, że mu niedobrze się robi, więc siadł na stojącym w pobliżu kuchni kłocu drzewa, mrużąc:

— Już to Krzych w niezem miary nie utrzyma! Gotów się jeszcze z chamami w gęby całować... Słyszane rzeczy! po węgrzynie... gorzalka!...

Splunął. Zwiesił głowę. Przez chwilę wydało mu się, że cała Kościeszówka z nim wokół tańczy, wreszcie westchnął głęboko razy kilka, spał brodę na kolanach i chrapał.

Tymczasem zabawa wrzała w najlepsze. Towarzystwo, zostawiwszy hulających weselników w czeladnej, przeniosło się powrotnie do salonu. Uproszona przez panie pani Kotarska siadła do fortepianu i muzyka rozbrzmiała na obu końcach kościeszowskiego dworku.

Hałasowano ogromnie, że umarłegoby w grobie obudzil. I nie tylko we dworze. Bo oto zgromadzona na dziedzińcu gawiedz wiejska poczęła także płaszać na śniegu, wykrzykiwać, śpiewać.

Ale pan Szalawa spał smacznie, nic nie słysząc. Zdawało mu się tylko, że go Oźga do tańca namawia, ściska, w same usta całuje. Zaczął mrużać przez sen, wymawiając się. Oźga prosił coraz usilniej. Szalawa czuł prawie jego oddech na twarzy, widział parę błyszczących oczu, słyszał mlaskanie całujących warg. Mocował się czas jakiś przez sen, niby się z Krzysiówych uścisków wyrывая.

— Całuj, Krzychu! całuj! — mrużał — a ja i tak tańczyć nie pójdę!...

Wreszcie ocknął się przez siłę. Otwarł szeroko oczy, nie zdając sobie w pierwszej chwili sprawy, gdzie się znajduje. Około nóg łasiła mu się Krzysiówa wyzlica „Igła“, skowycząc radośnie i oblizując się smacznie.

Szalawa pomacał się po wilgotnej twarzy. Kopnął sukę.

— Niechże mię! a to się ululałem! — mruknął i zaczął połą fraka policzki wycierać.

— Niechże mię! — powtórzył. — A tamci hulają jeszcze. Wódka mi zaszkoziła — perswadował sam sobie.

Wstyd mu było wracać do towarzystwa, więc tak jak stał, z gołą głową, ruszył do oficyny na „siano“.

Po drodze zetknął się z Lejzorem Szpicem. Pachciarz szedł ku dworowi.

— Czego tu chcesz, parchu? — huknął Szalawa.

— Zwyczajnie... przez ciekawość... popatrzeć — odrzekł pokornie pachciarz.

Po twarzy przebiegł mu szydreczy uśmiech.

Pan Szaława nie pytał więcej i poszedł w swoją stronę. Żyd patrzył za nim chwilę, wreszcie splunął pogardliwie.

— A besofener goj! — mruknął i podążył ku dworowi.

Przez szyby widać było całe wnętrze, jak na dłoni. Żyd przystanął, zaczął szukać oczyma Oźgi. Dojrzał go wreszcie klęczącego z kieliszkiem w ręku przed żoną i pijącego jej zdrowie... Utkwił wzrok w Oźdze, skrzywił twarz złowrogo i syknął przez zęby:

— Symcha miał recht! lepiej, co on się jeszcze pobawi. Będzie łatwiejszy...

A w tej chwili zimny dreszcz wstrząsnął Oźgą, widocznie szampan był za mocno mrożony. Wypuścił kieliszek z ręki, szkło z brzękiem padło na dębowe tafle posadzki, rozpryskując się w kawałki.

— Na szczęście! na szczęście! — poczęto wołać chórem.

— Na szczęście! — powtórzył Oźga i zamyślił się.

Po niebie płynęła rozświetlona poranna i wróble w strzechach zaczynały ćwierkać.

IV.

W kościeszowskim sadzie jabłka rwano.

Żyd-sadownik oddawał należny dworowi wymiar, delikatnie układając owoc w ćwierć lubianą. Nad czubatym koszem renet stała wsparta na ramieniu męża Jadwinia.

Dzień był piękny, nasycony jasnością, prawie wiosenny, jak to niekiedy na jesieni bywa. Słońce grzało silnie, susząc nadwiędłe na szypułkach liście, ale ziemia oddychała wilgocią. Oślizgły ścieżki sadu, po korze drzew spływały sperlone krople mgły nocnej, pokrywały rosą, widniejące z oddali, podobne do plastrów woszczyn z ula wyjętych, ścierniska. Snadź słońce jesienne, później wstając, nie wypijało już doszczętnie nocnych oparów.

— Chodźmy lepiej do domu — odezwał się Ożga, widząc, że Jadwinia, puściwszy jego ramię, zamierza przysiąść na pobliskiej murawce. Jeszcze ci zaszkodzi... Wilgoć! Jadwiniu, nie można!... — przedstawiał.

Zrobiła nadąsaną minkę, ale nie usiadła, tylko, na-

chyliwszy się nad odmierzaną ćwiercią, zaczęła dopomagać sadownikowi, piętrząc zrecznie jabłko na jabłku.

— Dajże pokój, Jadwiniu! Jak nie to, to owo — przemówił znów Oźga. — Nie wolno ci się schylać, dzieciaku kapryśny! Patrz! nawet Joel nierad takiej pomocnicy...

Przy tych słowach, podszedłszy z tyłu, ujął ją pod ramiona i ostrożnie uniósł w górę.

— A posłuszeństwo — rzekł. — Zobaczysz! tylko mama przyjedzie... Poskarżę się zaraz...

— Nieznośny jesteś — odrzekła, odsuwając go z lekka. — Tego nie można... tego... nie można, ciągle: „nie można“ i „nie można!“ Nie kocham cię! — dodała ciżej, tonem wyrzutu.

— A ja także — odszepnął.

Ale oczy ich, spotkawszy się z blizka, żrenica przy żrenicy, mówiły co innego.

W tej chwili z niedalekich łąk doleciał klekot bociani.

Oźga podniósł palec do góry.

— Słyszysz? — rzekł. — Przestroga... Boćki zbierają się do odlotu.

Figlarny uśmiech zaigrał mu na twarzy.

Ja zaś oblał żywy rumieniec, pokraśniała jak wiśnia na dojrzeniu. Machinalnie odwróciła głowę w ukazywaną przez męża stronę i powoli, stopniowo, wesoło zwykle, w uśmiech oprawne jej oczy poczęły nabierać wyrazu zadumy, niezwykłej powagi i wzruszenia.

— Przestałbyś, Krzychu! — odezwała się wreszcie, łagodnie, lekliwie oniemal.

A było w tem odezwaniu się tyle próśby nieśmiałej, kobiecego poddania się, tyle słodczy pokornej a podbijającej zarazem, że Oźga, któremu już nowy żart cisnął się na usta, zmilkł i zdumionym wzrokiem objął całą postać żony.

Wydała mu się teraz jakąś inną, niż dotychczas, ale piękniejszą jeszcze stokroć od tej Jadwini, z którą przed dziesięciu miesiącami obrączki zamienił, więcej drogą, bardziej jeszcze wielkiego kochania godną, niż kiedykolwiek, bo bardziej jego...

I bezgraniczna miłość wypełniła mu całą duszę.

A równocześnie odczuł, że do tej miłości niezmiernej, potężnej, jasnej, jak przebłysk słoneczny, do tej miłości, która mu szczęście pod stopy słała, przyłączyło się teraz jeszcze inne uczucie, cichsze, spokojniejsze może, ale niemniej słodkie, niemniej błogie, niemniej upojeniem darzące, a takie do samej miłości podobne, tak z nią niepodzielnie związane, że mogła je tylko owa miłość zrodzić, na złotą nić wspólnych uroków nanizać, w sercu zawiesić.

Raj miał w piersiach, w oku zachwyty osłupienia, jak człowiek niespodzianie odkrytym skarbem olśniony.

I nie już nie mówiąc, bo mu słów brakło do wypowiedzenia tego, co w myśli rozkoszą dźwięczało, zbliżył się znów do zapłonionej Jadwini, z pieczołowitą lubością otaczając ramieniem krągłą kibić.

Żeby nie sadownik i chłopcy, otrząsający jabłonki,

byłby jej do stóp runął i małe nóżki całował, a na cały głos wołał: „Moja ty! moja! naprawdę moja! i tylko moja!“

I widać dobrze im było obojgu, bo stali tak pierś przy pierśi dość długo, bez słów, zapatrzeni, a nie nie widzący, prócz siebie.

Wreszcie zbudził ich z tej pólsejnej zadumy głos sadownika.

— Proszę jaśnie państwa, z jabłkami fertig! Jak raz osiem ówierci... Jak wybierane! Teraz tylko gruszki...

— To już chyba jutro — odrzekł na to, uprzedzając żonę, Oźga. — Zresztą przyślę tu Wawrzyńca, to odmierzycie; ja z panią nie mamy czasu...

— Ja bez jasnego państwa rzetelnie odmierzę — upewniał Żyd, klaniając się nisko. — Stary Joel nie jest, z przeproszeniem, szachraj. Może się jaśnie pani spuścić, będzie miara rzetelna.

— No! pamiętaj! — pogroził Krzys i, nie czekając dłużej, ruszył ku dworowi. — Jadwinia nie opierała się więcej. Czula się rzeczywiście cokolwiek znużoną, nie wspomniwała jednak o tem Krzysowi, nie przywiązując zresztą do chwilowego osłabienia wielkiej wagi.

Szli zwolna przez usiane opadającym liściem ścieżki, a Oźga, któremu teraz rozwiązały się usta, mówił:

— Oj, ty, uparciuszkule! Myślałem, że cię stąd nie wyciągnę, a już zaczyna być chłodno. Moje ty złotko, jeśli mię trochę kochasz, to... to... dbajże o siebie więcej. Chybabym zwaryował, żeby ci się coś złego stało. Nie masz pojęcia, jaki rad jestem, żeśmy nareszcie tę

włóczęgę skończyli. Bo to od wiosny... wizyty... rewizyty... przyjęcia... jeździło się po powiecie od Annasza do Kaifasza, a w końcu i ten ślub Bortnickiego. Szczerze się pośpieszył, bo choć kocham go jak brata rodzony, byłbym się uparł i nie pojechał.

— Julce byłoby przykro. Przecież to cioteczna siostra — wtrąciła Krzysztofowa.

— Ma się rozumieć! To też lepiej się stało, że już po wszystkim... a chcieli jeszcze odkładać. Za jaki tydzień byłbym za nie nie przystał. Niechby się żenili, jak chcieli, ale bez nas. Już i tak miałem dyabelnego stracha o moją panią. Boś też niepotrzebnie tańczyła...

— Przesadzasz! nic mi się przecie nie stało. Zresztą, mój Krzychu! teraz już tańczyć nie będę.

— Bagatela! jeszcze czego! Teraz ja będę tańczył na dwóch łapkach, jak mi zagrasz, ale z domu się nie ruszymy. Jeszcze czego! Dalaby mi mama taniec!

— Mama pewnie w tym tygodniu przyjedzie.

— A dalby Bóg! łatwiej cię we dwoje upilnujemy, bo z moich rad niewiele sobie robisz. Trzy dni dopiero, jak wróciliśmy z wesela, a ty, zamiast odpoczywać, jakby na złość, drepcesz po kątach bez potrzeby. Kiedyś zastałem cię w oborze.

— Pańskie oko konia tuczy! — odrzekła półzartem.

— Pańskie oko... Acha! to mała przymówka do mnie — podchwycił. — Ej, figlarko! Chciałabyś mię wziąć w kuratelę? A i owszem! Zgoda, od jutra świtkiem po dyspozycje do pani dziedziczki... Tylko, że słyszałem coś kiedyś o „babskich“ rządach...

Zaśmiał się wesoło, a po chwili już poważniej rozpowiadał:

— Żart żartem, ale i gospodarstwo na tych rozjazdach nie zyskało. Zgnoili mi najlepszą łąkę, siewy spóźnili... Masz rację! Pańskie oko konia tuczy. Pietraszewski, dobry człowiek, na roli zna się, ale już za stary na ekonoma i rady sobie dać nie może. Przytem są i inne interesa, a to wszystko przez tyle czasu spalo...

Zamyślił się. Wspomnienie interesów zachmurzyło mu czoło. W samej rzeczy do tej pory nie zrobił pod tym względem nic prawie.

W pierwszych miesiącach po ślubie co innego miał w głowie, później przy ciągłych wizytach brakło czasu, a że wierzyciele siedzieli cicho, nie niepokojąc, schodził dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Wprawdzie kilkakrotnie, nagabywany w delikatny sposób przez teścia, postanawiał Ożga załatwić jak najrychlej pieniężną sprawę, ale zawsze coś stawiało na przeszkodzie. A tymczasem posażnych pieniędzy dyabelnie ubywało. Nie martwił się tem Ożga zbytecznie, pocieszając się, że Żydzi poczekają, ale, bądź co bądź, już sama myśl o interesach była mu niemiłą. Ilekroć myślał o tem, wpadał w zły humor i kłął w duchu, że się jeszcze z tem „tałajstwem“ nie załatwił.

Więc i teraz na myśl o niewypłaconych dotąd wierzycielach sposepniał, zamilkł, w myśli czyniąc sobie i wierzycielom wyrzuty:

— Dyabli nadali! Żeby się był który upomniał, byłbym, panie!... ale przyczaili się i ani pisną! Trzeba bę-

dzie przy pierwszej sposobności raz z tem skończyć. Żebym choć wiedział, ile się szelmom należy, ale i to nie! Dyabli nadali! Teraz Jadwisi odjechać nie mogę... pieniądze się rozlażą... Żeby tak matka nadjechała, wpadłbym choć do Symchy... Teraz „walny“ jarmark... sprzedałbym jeszcze co zboża i zepchnął kłopot z głowy. Ale cóż!? Jadwini samej nie zostawię, a matki nie widać — rozmyślał, chmurniejac coraz więcej.

Westchnął głęboko.

— Co ci jest, Krzychu? — spytała trwożliwie Jadwinia, dostrzegłszy nagłą zmianę w usposobieniu męża.

— Ej, nie! tak sobie... Zdaje ci się... Nic! zupełnie nic.

Spojrzała mu w oczy. Zmieszał się i zaczął nadrabiać miną.

— Cóż to! indagacya? czy co? Patrzenie! ciekawska... Troi ci się w oczkach, Jadwiniu... Nigdy weselszy nie byłem...

Wymawiał się, tłómaczył, podżartowując wesołym tonem, aby tylko odwrócić uwagę żony i nie dopuścić smutnych przypuszczeń, bo zląkł się bardzo, że jej zmartwienie zaszkoździć może. Ale w głębi czuł niesmak i niezadowolenie.

Jej zaś przeszło przez myśl, że to wypowiedziane mi przed chwilą słowy, które wziął za przymówkę, wyraziła mężowi mimowolnie przykrość, więc poczęła mu patrzeć w oczy i lasić się, główkę na jego ramię pochylając, i mówić:

— Taki to mój pan obraźliwy? A nie wiedziałam!

Ale kiedy ci tak o to chodzi, to ci powiem, co ojczuś mówił...

— No co? no co? — podchwycił żywo.

— Że... że... w całej okolicy niema lepszego gospodarza od pewnego jegomości... Na imię mu Krzych, a ma żonkę, co go bardzo, bardzo kocha, jeśli jest wesół i grzeczny...

Ozdze skry sypnęły z oczu, przycisnął silniej kibić żony, usta ich spotkały się w długim, gorącym pocałunku.

W sercu jego nie było już miejsca na niepokój i smutek, bo rozgościło się w niem znów wielkie wesele, wielkie szczęście. I jak przedtem rychło posmutniał, tak teraz poweselał w jednej chwili i, nie zdejmując prawie warg z jej czoła, całował raz po raz w przymknięte rzesy, powtarzając szybko, zadyszany z radości głosem:

— Tak mówił! tak mówił... Będzie zawsze grzeczny, zawsze grzeczny! Będzie służył wiernie, będzie słuchał we wszystkim, będzie pracował jak wół! bo kocha... aż strach!

A słowem tym gorącym towarzyszyło w tym momencie silne postanowienie dokonania wszystkiego, co przyrzekał, i ufność pogodna, że inaczej stać nie może. Ożga w tej chwili czuł moc w sobie, co się żadnych przeszkód nie lęka.

Tak rozmawiając, wyszli już z owocowego sadu i zbliżali się ku dworowi, kiedy od strony wsi doleciało głośnie ujadanie psów i na drodze, wiodącej ku

dworowi, ukazał się oganiający się podwórzowym kundysom Żydek.

Dostrzegł go Ożga, lecz z powodu znacznej odległości na razie nie mógł rozpoznać, co za jeden. Widoczne było tylko, że ku dworowi zmierza. Jakoż niebawem mały, chuderlawy Żydek dobiegł ogrodzenia ogrodowego i, uchyliwszy furty, wszedł na dziedziniec. Ożga, który się był cokolwiek nieproszoną wizytą zaniepokoił, poznawszy przybysza, począł teraz wołać z daleka wesoło:

— A, to Sofa! pocziwy Mendel! Cóż? stęskniłeś się za mną? Cóż cię tu sprowadza? A pójdziesz precz, Igła!

Żyd, choć oddalony jeszcze o kroków kilkanaście, zdjął czapkę i zaczął się kłaniać aż do ziemi.

A Ożga mówił:

— Kopę lat cię nie widziałem. Pójdź-że prędzej... Psy zwietrzyły koninę i ujadają jak na wilka. Jadwiniu! — zwrócił się do stojącej nieopodal żony. — Oto jest Mendel Sofa, faktor i wielki znawca koni. Okpił mię nieraz, nawiasem mówiąc, niemiłosiernie, ale swoją drogą bardzo porządny obywatel. Chodź, Mendelku! chodź. Nie wstydź się! Co prawda, nie grzech. Ostatnim razem wpakowałeś mi opojowatego wałacha... No! ale z czemże przychodzisz?

Żyd skrzywił twarz smutnie i znów pokłonił się kilkakrotnie.

— Jaśnie pana zawsze się żarty trzymają — zaczął, przystanąwszy w pobliżu w pokornej postawie. —

Z przeproszeniem jaśnie dziedziczki... wolno się w okolicy spytać: czy Sofa, Mendel Sofa szachraj? Jaśnie pan tak tylko kpi sobie z biednego Żydka... ale sam wie najlepiej, co jak Sofa powie: git! to trzeba brać, nie pytać... A swaszlowa kobyła zła była, jaśnie panie? No, niech wielmożny dziedzic sam powie?

— To też zapłaciłem z kośćciami...

— Niema czego żałować, jaśnie panie. Takiej klaczki drugiej nie znajdzie i za podwójną zapłatę. A z przeproszeniem jaśnie państwa — tu skłonił się do stóp obojga i uśmiechnął słodko — z przeproszeniem, ta klaczka teraz jest dużo więcej warta...

— Nogi poderznięte...

— Co to znaczy! Ale ona miała szczęście wozić jaśnie państwa do ślubu. Ona wozila szczęście pana dziedzica, ona wozila skarb!

— Patrz, Jadwiniu! jaki z niego komplementysta — zaśmiał się Oźga. — Ale to nie bez kozery. Gadajże! — zwrócił się do koniarza — co masz za interes?

Zapytany ruszył ramionami.

— Żadnego, jaśnie panie! tak sobie wstąpiłem z pokłonem, przechodząc. Pan Kotowicz wyprawił mię do siebie po tę parę srokaczy. Chce robić facyendę ze Szmulem na kasztany. Na tegoroczny jarmark Szmul naprowadził koni... aj, aj! — zachwalał.

— Dobry jarmark? — spytał Oźga żywo.

— Dłaczego ma być zły? Zboże płaci, szlachty się najechały, koni dość! i jakich! ho! ho!

— Szmul ma co dobrego?

— Jaśnie panie! ja co powiem... On sam nie wie, co ma. Ma wierzchówkę... szesnastej miary, złotogniada... pięć lat... No! nie chcę gadać! Żeby ją jaśnie pan zobaczył... Wiatr, nie koń!

— Droga?

— Nie! Boże uchwaj! Ja powiem jaśnie panu. Szmul dostał ją w facyendzie, kosztuje go niewiele, toby i puścił tanio. Zresztą, co Szmul?! jaśnie pan wie najlepiej: on się tak zna na koniach, jak, nie przymierzając, aptekarz na prawie...

Roześmiał się, rad z konceptu, uważnie spojrzawszy na Oźgę, a po chwili dodał tonem rady:

— Jak jaśnie pan zobaczy, to sam powie, że Sofa dobrze radzi!

— Nie będę na jarmarku—odrzekł pan Krzysztof. Żyd zadziwił się.

— Jaśnie pan nie będzie? A tam się jaśnie pana spodziewają... Zboże płaci... a mówią, że pod gody będzie tańsze. Jabym radził...

— Nie mogę! nie mogę! — wymawiał się Oźga, ale równocześnie spytał:

— Więc powiadasz, że klacz dobra?

Sofa mlasnął z zachwytu, Oźga zaś począł teraz chodzić tam i napowrót, trzeć ręce i mówić do siebie:

— Żeby tak jeszcze matka była... to co innego! Ale tak, niesposób.

I od czasu do czasu kierował wzrok w stronę żony.

Pani Krzysztofowa odgadła z łatwością, że radby

wyjechał do miasta na ów walny jarmark, że go tylko obawa zostawienia jej samej krępuje, nie chciała jednak przy faktorze rozpocząć rozmowy, ale postanowiła sobie namówić Krzycha, gdy zostaną sami, do zobaczenia się z sąsiadami na jarmarku. Zdawało się jej nawet, że dobrze zrobi, nakłaniając męża do tego, ze względu na interesa, o których cokolwiek słyszała, a które na takich właśnie jarmarkach powszechnie ułatwiano.

Ożga tymczasem, zagadawszy się z koniarzem, odszedł kilka kroków, wypytyując się w dalszym ciągu o różne, interesujące go szczegóły. W gruncie rzeczy miał wielką ochotę wpaść na jarmark, ale mimo to ostatecznie zapowiedział faktorowi, że nie przyjedzie, a klacz, o ile nie będzie sprzedana, przy innej sposobności obejrzy.

Sofa bardzo żałował, rozstając się, że namowa jego nie odniosła skutku, wreszcie zaczął się żegnać, ofiarując w przyszłości swe usługi.

W duchu zaś myślał chytrze:

— Jakem Mendel Sofa, on jutro u nas będzie. Nie wytrzyma! ja go znam. On się już pali... tylko mu o żonę idzie...

Jakoż istotnie Ożdze zapachniał jarmark. Dałby był wiele za to, żeby, jak lat innych, znaleźć się w wesołym gronie jarmarkowiczów. W dodatku i ta klacz, o której Sofa cuda opowiadał, zaciekawiała go bardzo. Żałował też bardzo, że teściowa jeszcze nie przybyła, że w ten sposób ma skrepowane ręce i, wracając do domu, rozważał nie bez przykrości:

— Żeby tak matka... Wpadłbym choć na chwilę!

Jadwinia siedziała jeszcze w ganku, z kobiecą przenikliwością obserwując męża. Kiedy więc wracał ze spuszczoną głową, zamyślony, wyszła naprzeciw i, nie ociągając się dłużej, zaczęła:

— Krzychu! Mam prośbę... Nie odmówisz...

— Potrzebujesz pytać! Rozkazuj! General nie pyta żołnierza... A to dobre!

Wyprężył się po wojskowemu i stanął przed nią jak szeregowiec przed starszyzną.

— Słucham rozkazu — rzekł.

Więc i ona wyprostowała się, ściągnęła brewki marsowato i, tłumiąc śmiech, rozkazującym tonem poczęła:

— Założyć cztery konie... Jechać na jarmark... Pozdrowić wszystkich znajomych i wrócić w dobrym humorze do... żonusi!

— Niepodobna, generale! Niebezpieczeństwo — wykrztusił Ożga.

— Cóż wart żołnierz, bojący się niebezpieczeństwa?

— Tu o generała chodzi! Posterunek zagrożony...

— General da sobie sam radę!

— Figę malowaną! — wybuchnął Krzyś, nie mogący już powstrzymać śmiechu, i, wbrew subordynacyi wojskowej, chwycił generała za obie ręce i w same usta pocałował.

Poczem zaczął mówić serdecznie, ale z powagą:

— Poczciwości ty moja! Gdzieżbym ja ciebie samą zostawił! Nie miałbym chwilki spokoju...

Ale ona nalegała coraz usilniej:

— Mój Krzychu! zrób to dla mnie! zrób... Przykro mi będzie, że przeze mnie nie jedziesz...

— Ależ! — bronił się jeszcze, lecz mniej już stanowczo. W końcu zaś rzekł:

— Jak mama nadjedzie, wpadnę na chwilkę. Byłoby mi nawet na rękę załatwić niektóre sprawy...

— Więc jedź, Krzychu, jedź! Zresztą, jeśli już chcesz koniecznie, to napiszę do mamusi, przyjedzie natychmiast, a przez jeden dzień nic mi się przecie złego nie stanie — prosiła.

— Poczekam na mamę, a jak nie, to poślę po...

— Właśnie, że nie potrzeba!

— Właśnie, że potrzeba!

I tak przekomarzali się czas jakiś. Stało wreszcie na tem, że żołnierz ustąpił generałowi, pod warunkiem, że jeszcze dziś wyprawi posłańca z listem Jadzi do matki i z prośbą o jak najrychlejsze przybycie.

W pół godziny potem chłopiec stajenny cwałował na bułanku w stronę Pronska.

Zanim jednak otrzymano odpowiedź we własnej osobie pani Tekli, która drugiego dnia z Gęgarzewską nadciągnęła, inna jeszcze okoliczność przyszła z pomocą Jadwini, ułatwiając oddalenie się Ożgi z domu.

Nad wieczorem nadjechali Bortnicey z pierwszą wizytą. Radość była wielka, bo Krzysztofowa przepadała za Julką. Młode mężatki rzuciły się wzajemnie w objęcia. Całusom i uciechom nie było końca, aż wreszcie Bortnicki, który daremnie starał się dobrać do rąk pani Jadwigi i tylko z daleka wołał: „Całuję rączki! Ca-

łuję rączki!“ — upatrzywszy stosowną chwilę, wcisnął się między rozentuzyzmowane kobiety i, zdobywając się na śmiałość, rozłtorzył ramiona, mówiąc:

— Kuzynko dobrodziejko! i mnie się przecież coś należy!

Z drugiej strony Ożga chwycił w pól Julkę i, nie czekając pozwolenia, jął wyczałowywać, że aż piszczeć i bronić się zaczęła.

Bortnicki zaś, przeplatając słowa głośnymi pocałunkami, wyciskanymi na rękach Krzysztofowej, recytował jednym tchem:

— Z pierwszą wizytą do kochanej kuzynki i ze skargą na tę oto osóbkę, która, zaprzysięgłszy przed paru dniami posłuszeństwo, już mię biednego za nos wodzić zaczyna...

— Boś pan nieznośny, nieznośny! nieznośny! — wykrzyknęła na to Julka.

— Cóż to sobie jeszcze „panujecie“? — podchwyciła Jadwinia.

— To właściwie moja pani „panuje“ i to jak! — odrzekł Bortnicki i w dalszym ciągu zaczął się nibyto skarżyć na różne prześladowania, jakich w pierwszych dniach pożycia doznaje.

Wygadali się wreszcie. Przystano żartować i Bortnicki już na seryo począł prosić Krzysiovej o zaopiekowanie się żoną przez dni parę, gdyż interesa zmuszają go do wyjazdu na walny jarmark, gdzie chciałby trochę zboża na podatki i „Towarzystwo“ sprzedać.

— A to się wybornie składa! bo oto i mój pan

maż również się wybiera. Pojedziecie zatem panowie razem, tylko uprzedzam, że za powrotem będzie spowiedź... — odpowiadając Bortnickiemu, mówiła pani Jadwiga. — Weźmiemy panów na „spytki“, prawda, Julciu?

A Ożga, zwracając się do Bortnickiego, wtrącił:

— Pokutę odprawimy naprzód. Prawda?

— Obejdzie się! — zaoponowała Julka, chowając w tył ręce.

— Ej, Julka! ej, Julka! — pogroził Bortnicki.

Pokazała mu — jak to nieraz za panieńskich czasów robiła — figę i zaczęła się chować za Jadwisie, nawołując:

— Ani się pan waż! ani się waż!

Pogonił za nią Bortnicki, ona zaś, uciekając, biegła w kółko, kryjąc się za krzesła, stół i napelniając dwór cały serdecznym śmiechem.

Wreszcie, dzięki czynnej pomocy Krzysia, dopadł i brał z ust jej pokutę, mówiąc:

— Jeszcze! jeszcze! bo grzechów będzie dużo! bardzo dużo!

Krzysztofowa ze sztuczną powagą przyglądała się tej scenie. Wreszcie udało się Julce wyrwać z rąk męża, a że drzwi do sąsiedniej sypialni były otwarte, schroniła się tam. Poszła za nią zaraz Krzysztofowa, a mężczyźni, zostawszy sami, zaczęli układać plan jutrzejszej przejażdżki.

Sprykrzyło się im jednak niedługo bez kobiet, więc poczęli szturmować do przymkniętych drzwi, aż w końcu puszczonego ich do środka, ale na to tylko, aby zaraz

wyprosić, bo pani Jadwiga, jako doświadczona już mężatka, miała coś sekretnego do powiedzenia Julce i nie życzyła sobie, aby im panowie przeszkadzali.

A musiało to być coś nader ważnego, bo rozmawiały z sobą do samej nocy, a przy kolacyi Julka miała bardzo poważną minę.

V.

Zmierzch zwalczał ostatek dziennego światła. W wązkiej uliczki wciskał się już mrok, płynął nad dachami zwartych w szeregi domostw cimą szarą, ale w miasteczku panował jeszcze ruch gorączkowy.

W rynku huczało, tętniało, brzmiał pogwar zmieszanych głosów i wykrzykników. Przed bramami zajazdów, obok rozstawionych licznie kramów i straganów, w odrzwiach sklepów stały zbite gromadki gawiedzi, gwarząc, rozpowiadając, targując się z przekupniami. Około rozstawionych w pośrodku rynku kozłów przeprowadzano jeszcze konie, przeznaczone na sprzedaż, w stajniach oprzątająca pary i czwórki służba dzieliła się doznaniem wrażenia dnia. Niekiedy zarżał co ognistszy rumak, huknął zamasyście, zakupionego na jarmarku bicza próbując, stangret, — zaturkotał po bruku zapóźniony, z popisu wracający ekwipaż.

Tu i owdzie ze sklepów, domów, szynków i przygodnych kramików zaczęło przebłyskać mgławie światło świec i lampek. Zapalono już rozstawione na czas jar-

marczny w rynku i pobliskich ulicach latarnie, oświetlono płócienny namiot z karuzela, zajaśniało całe pierwsze piętro nad restauracją Pomidorkiewicza, a w salach na dole siedząca na podniesieniu kapela zaczęła stroić instrumenty na koncert wieczorny. Sam Pomidorkiewicz z serwetą w ręku biegł tu i z powrotem po całym zakładzie, dyrygując, napędzając usługę i odganiając zbyt natarczywie cisnących się do wnętrza Żydów, którzy, stanawszy szpalerem przy progu, raz po raz wciskali się do środka i, zajrzawszy, wybiegali z otrzymanem zleceniem lub z zachwyconą wiadomością na miasto.

Nie brakowało ich nawet w górnej sali i numerach, gdzie szlachta, zasiadłszy przy zielonych stolikach, grała w karty.

Właśnie z jednego z takich numerów wyszedł pośpiesznie Mendel Sofa i, zagiąwszy chałat, pobiegł szybkim krokiem w poboczną uliczkę ku mieszkaniu Symchy Rajzmana. Niósł widać dobrą nowinę, bo w oczach miał radość, a do spotkanych po drodze współwyznawców swargotał wesoło.

Po chwili znalazł się w sklepionej izbie, oświetlonej ogarkiem lojowej świecy, sterczącej w mosiężnym świeczniku.

W izbie przy stole z wytartą politurą siedział Symcha Rajzman i liczył...

Obok tegiej postaci Symchy grupował się wianek charakterystycznych twarzy, z przenikliwym oczekiwaniem wpatrujących się w szereg kreślonych cyfr.

Symcha liczył, pomrukując półgłosem: Zwanzig! Fünf hundert dreissig... zwölf tausend..

Wzrok jego biegł za cyframi, twarz uśmiechała się radośnie.

Wreszcie jeden z obecnych, Żyd wysoki, chudy, z brodą siwiejącą, zrobił gest niecierpliwy, trzęsącą ręką dotknął stołu i, nie spuszczać oka z rachunku Symchy, spytał sucho:

— Ny? co będzie?

— Co będzie? A co ma być? — odrzekł, nie podnosząc oczu, Symcha. — Co ma być? — powtórzył.

Kiedy to mówił tonem drwiącym, obrzękle powieki drgały mu nerwowo, twarz nabrała szyderskiego wyrazu.

— Ja pytam: co będzie? — uporczywie jeszcze raz spytał Żyd, ręką wskazując na cyfry. — Pytam was, Symcha, co będzie?

Teraz twarz Symchy z szyderskiej stała się niemal złowieszczą. Spojrzał na pytającego, a oczy jego mówiły:

„Jakiś ty głupi, Jojna! jakiś ty głupi!...”

Wreszcie, wydawszy wargi, rzekł z wolna, cedząc słowo po słowie. W głosie jego czuć było lekceważenie i pogardę.

— Wy pytacie, Jojna: co będzie? Mnie dziwno, Jojna, że wy pytacie... Ale kiedy pytacie, to i ja z kolei spytam: Co należy robić, jeśli drzewo spróchniałe samo obalić się nie chce? Może podpierać?

— Trzeba... — wtrącił Jojna.

— Still! still! — zawołali słuchacze.

A Symcha mówił dalej:

— Trzeba tak robić, żeby się ono obalilo samo, lub brać siekierę i rąbać, póki się ono nie zwali... Trzeba...

— A soj — potaknęli słuchacze.

— Ożga, to spróchniałe drzewo. Jego trzeba rąbać, ale tak rąbać, żeby nikt nie wiedział, kiedy runie, żeby nie przyszedł ogrodnik - familia z podpórka, żeby on cały był w naszych rękach. A teraz on nasz! — mówił Symcha tryumfująco. — On nasz! U niego jest jeszcze kilkanaście tysięcy wiana, ale i te tak jak nie jego...

— A ke pe! — pochwalili słuchacze, kręcąc z zadowolaniem głowami.

— Łatwiej brać jak jest, niż jak niema — wtrącił kościsty Żyd, zwany Jojna.

— Jeśli Jojna chce, to ja wasze pretensye nabędę — odrzekł na to Symcha.

— Kikste a spółnik! — wybuchnął Jojna. — Bez ciebie robiłem interes i bez ciebie skończę!

Zaczęli się swarzyć, głos podnosząc. Otaczający łagodzili spór.

— O co idzie? — mówił niski, przysadkowaty Żydek, Lejba Wołkuń. — O co idzie? Chce Symcha czekać... Niech czeka... Wy nie chcecie... nie czekajcie, a my tymczasem będziemy patrzeć: kto ma recht!

— Kto ma recht? — odrzekł Symcha. — Ja! — i uderzył się z całej siły w piersi. — Ja!... Ożga nasz! A jeśli on jeszcze przyjedzie na jarmark, to się pokaże, kto miał recht!

Domawiał tych słów, kiedy do izby wbiegł zadyszany Mendel Sofa.

Kilka par oczu obrzuciło go badawczem wejrzeniem, on zaś sapał, oddychając ciężko, jak człowiek bardzo spracowany.

Wreszcie Symcha, powstawszy, podszedł doń bliżej i z widocznym zaciekawieniem spytał:

— Ny, co? jest?

— Co jest? — powtórzyli inni.

Przybyły, dla wzbudzenia większej ciekawości, milczał chwilę. Nareszcie, odetchnawszy głęboko, wygłosił z chwałbą:

— Przyjechał!

Spojrzał tryumfująco. Na wszystkich twarzach malowała się radość. Jojna Cye zerwał się z siedzenia. Chwyił ze stołu czapkę i, nie pytając o nic, ruszył ku drzwiom z pośpiechem.

Widząc to, Symcha, poskoczył i zagroził mu drogę.

— Gdzie Jojna leci? — spytał, zasłaniając wyjście całą swą osobą.

Powstrzymany w zapędzie Jojna poczerwieniał z gniewu i zaczął, trzęsąc się, krzyczeć przeraźliwie:

— Gdzie? Po swoje pieniądze! Ja nie chcę czekać! Ja chcę brać! chcę brać, póki jest! chcę mieć swój kapitał!

Odpychał broniącego wyjścia Symchę, miotał się z palczywie, a wrzeszczał:

— Puść! puść! Co to jest? gwałt! rozbój! więzienie!

Ale Symcha, oparty silnie plecami o drzwi, nie puszczał, wyciągniętymi rękoma broniąc przystępu.

Zaczęli się naprawdę szamotać, do przymówek dołączono kłatwy. Rozlegało się po izbie: A myszygene pałke! Waryat! Szwarcjur! Ganef!

Teraz ruszyli się inni i — nuż godzić. Doskoczył Mendel, wołając:

— Co Jojna wyprawia? Czy to kupiecka rzecz psuć dobrą kompanię? robić w spółkowym interesie kłótnię? Ja nie wiem, co wam się stało, Jojna? Wyście dla mnie całkiem inny człowiek! Jak spółka, to spółka! Ja jestem prosty faktor, a na taką niedelikatność patrzeć nie mogę!

Drudzy mitygowali Symchę, podnosząc krzyk wielki. Najgłośniej krzyczała Foglowa.

Wcisnąwszy się przebojem pomiędzy zwaśnionych, uniosła w górę zatłuszczoną torebkę i darła się z sił całych:

— I ja mam u niego ładny kawalek grosza! Co z tego? czy ja leczę naprzód z kwitami? czy nie idę ręką w rękę? czy nie chcę czekać? POCO nagłoś! poco krzyk! poco hałas! Można się zgodnie podzielić, jak na kupców przystało... Ale brewerye stroić! to wstyd. Niech Symcha da spokój i wy, Jojna, dajcie spokój. On nie ptak, nie ucieknie. Still! still!

Jakoż niewieścia przemowa pomogła o tyle, że Symcha odstąpił od drzwi, a Jojna nie zabierał się już do wyjścia. Tylko z pokraśniałych jak burak twarzy obu przeciwników tryskała jeszcze zaciekłość i oburzenie, wywołane sprzecznością pojęć o interesie. Wreszcie ciepłe, nakłaniające do zgody słowa towarzyszków przemogły. Symcha zajął dawne miejsce przy stole, ulagodzone-

go Jojnę podprowadzono również, poczem całe towarzystwo, w najlepszej harmonii zasiadłszy, nawiązało tok przerwanych obrad.

Najpierw zabrał głos Mendel Sofa, składając szczegółowy raport z wycieczki do Kościeszówki, uwieńczonej ostatecznie pomyślnym skutkiem. „Ciotka“ Foglowa dorzuciła następnie słów kilka, dotknawszy oględnie drażliwej kwestyi, która przed chwilą stała się przyczyną brzydkiej awantury. Zaczem Jojna, ochłodłszy już zupełnie, wstydząc się niejako poprzedniej gwałtowności, zwrócił się pierwszy z pytaniem do Symchy, dając tem dowód zapomnienia urazy:

— Więc powiedzcie, Symcha, jak chcecie? — odezwał się spokojnie, zwracając się do gospodarza.

Więc Symcha, aczkolwiek zrażony chwiejnością charakteru spółnika, zaczął również spokojnie przedstawiać obmyślany przez się plan działania, odwołując się niekiedy do wytrawnego sądu Foglowej, w zupełności podzielającej jego zdanie.

— Wy, Jojna — mówił tonem perswazyi — macie gwałtowną naturę, i to jest źle. Kto nie umie czekać, nie powinien handlować. Dać pieniądze i odebrać dług, jeśli dłużnik ma pieniądze, to nie sztuka! nie interes! Takie operacye byle chłop potrafi. Kupiecka rzecz odebrać wtenczas właśnie, kiedy niema... W tem cały zysk, cały profit, w tem obrót jest. Gdybyśmy — opowiadał w dalszym ciągu, przeciągając śpiewnie sylaby — na ten przykład, wszyscy jak jeden mogli odebrać swoje pieniądze od pureca, niechby było i tak! Ale tych pieniędzy zaraz po ślubie nie starczyło. Dlaczego miałby

brać jeden, a nie wszyscy? Co za gwałt? Czy nie lepiej czekać, aż pieniądze całkiem zbraknie? Czy nie lepiej tak zrobić, żeby zamiast małego był zysk duży? żeby się drzewo bez rąbania obaliło? Czy wy, Jojna, wiecie, siła jest wart las w Kościeszówce? Ja wam powiem... W tym lesie są dwie wartości, dwa szacunki, każdy inny. Jeśli my go będziemy chcieli kupić, to las jest drogi; jak purec będzie chciał sprzedać, to las zaraz stanieje. Trzeba tak robić, żeby on chciał, a nie my. A kiedy on będzie chciał? Wtedy, jak mu pieniędzy zbraknie... Dlatego ja się bardzo cieszę, że jemu już zaczyna brakować, cieszę się, że on przyjechał na jarmark z ostatkiem pieniędzy, cieszę się i czekam, aż las do reszty stanieje... A wam wolno robić inaczej.

Kiedy to mówił, całe otoczenie mlaskało z zadowolenia, co moment powtarzając:

— A soj! a soj!

Jojna słuchał uważnie. W miarę opowiadania chmurna jego twarz rozjaśniała się coraz bardziej; gdy zaś Symcha skończył, wyciągnął doń rękę i rzekł krótko:

— Niech będzie po waszemu... Jak czekać, to czekać!

— Czekać! czekać! — potaknęli chórem inni.

I los kościeszowskiej dąbrowy, los stuletnich sosen i buków został rozstrzygnięty.

Tymczasem Oźga z Bortnickim prosto z wózka, wstąpiwszy tylko na chwilę do zamówionego numeru, gdzie ich właśnie czatujący Mendel Sofa podpatrzył, zaszli do restauracyi, owacyjnie przez całe grono znajomych i sąsiadów witani.

Ledwie się ukazali na progu, rzucono się ku nim tłumnie, z serdecznym okrzykiem:

— A toście nam z nieba spadli! Że to was żony puściły! — wołali jedni.

— Jużesmy was oplakali! — dogadywali drudzy.

— Widać nieprawda, że kto się ożeni, ten się odmieni! skoro tu jesteście! — krzyczał podochocony Kotowicz.

— Drapnęli kobietom! Brawo! brawo! — chwalił Bolek Witrzycki, a pan Szalawa, który, gotując się do pulki, siedział za zielonym stolikiem i na widok wchodzących zaczął nucić: „Wilezysko się ożeniło...“, rzucił teraz trzymaną w rękę talię kart, rozkrzyżował ramiona na całą szerokość i, podbiegłszy do Oźgi, wziął go w objęcia.

— Krzych! jak Boga kocham! Krzych we własnej osobie... Niechże ci się dobrze przypatrzę, pantoflarzu! — wykrzykiwał, gibocząc się na nogach i nie puszczając z ramion Oźgi.

Następnie wziął się do Bortnickiego i, obcałowawszy obydwóch, zaczął ciągnąć do stolika, mówiąc:

— Smutno wam może bez dam? Będą damy, i to w czterech kolorach! Co kto lubi! co kto lubi!

Nie wymawiał się bardzo Oźga, ale że właśnie nadzedł pan Barszczewski, do którego miał interes, natarczywa propozycja Szalawy nie dała się na razie skutecznić.

Oźga, powitawszy wuja, odciągnął go na bok.

— Cóż tam u was słyhać? Żona zdrowa? — spytał Barszczewski.

— Chwała Bogu! trzyma się nieźle. Chociaż, żeby nie interesa, wolałbym był siedzieć w domu — odpowiedział Krzyś.

Barszczewski domyślił się, dlaczego.

— Jeszcześ z tem nieostrzelany — rzekł wesoło. — Matka pewnie przyjechała?

— Dziś w południe...

— No! to dadzą sobie radę bez ciebie. Dobrze zrobięś, przyjechawszy, bo właśnie słyszałem od kogoś, że Żydzi zaczynają się niepokoić. Trzeba, Krzychu, z tem raz skończyć.

— I ja tak myślę. Dla wszystkich wprawdzie pieniędzy nie starczy, ale Symchę chciałbym spłacić koniecznie. Obstaluję go na jutro rano. Może wuj będzie łaskaw być obecnym...

— Z największą chęcią.

Kiedy tak rozmawiali półgłosem, do sali przybywało coraz więcej szlachty, robiło się coraz gwarniej, coraz weselej.

Okolo stolika, przy którym na nowo zasiadł Szaława, zgrupowało się kilkanaście osób. „Książę“ opowiadał jakąś anegdotę jarmarczną, pobudzając wszystkich do śmiechu. Był w ferworze nielada, śmiał się z własnych conceptów do rozpuku, gładził czuprynę, co u niego było oznaką wyśmienitego humoru.

Był w swoim żywiole, bo jarmarczne pohulanki lubił nad wyraz, a wesoła kompania dodawała mu jeszcze animuszu. Przytem i przyjazd Oźgi ucieszył go wielce. Czekał też niecierpliwie końca rozmowy z Barszczewskim.

— Nie ubliżając nikomu — mówił, ukazując ręką w stronę Oźgi — dwóch nas jest tylko, co się jeszcze bawić umiemy... Ja i Krzych! Wprawdzie go teraz pani Jadwiga w kluby wzięła, ale, jak widzicie, wyłgał się chłopczyśko, i oto go mamy!

Poczem zaczął wołać na cały głos:

— Krzychu! a chodź do nas! Panie Barszczewski! interesa tu i tam nie uciekną! Zresztą mamy szkapę, będziemy gonić!

Więc Oźga, naradziwszy się już dostatecznie z Barszczewskim, zbliżył się do stolika. Pan Barszczewski podążył również za nim. Zrobiono obydwom miejsca.

Szaława, któremu do gry było pilno, chciał zaraz rozpocząć, ale inni jęli oponować.

— Jeszcze za wcześnie! za wcześnie! Calutką noc mamy na to! Teraz ot lepiej pogadajmy!

Szaława rad nierad ustąpić musiał.

Jakoż zaczęto gawędzić, dopytywać się wzajemnie, opowiadać o przebiegu jarmarku, przechwalać się nabytymi końmi, popijając węgryna, obnoszonego obficie przez wyćwiczoną służbę Pomidoriewiczza.

Oźdze było w to graj! Rozochocił się wielce, a będąc zapalonym do koni, żałował tylko w duchu, że zaraz omawianych ekwipaży, dobranych czwórek obejrzyć nie może. Słuchał z ciekawością.

Właśnie Józef Kotowicz, mający dotychczas w całej okolicy po Oźdze najlepsze konie, począł się przechwalać ze świeżo nabytych kasztanów.

— Trzymałbym gruby zakład — mówił z entuzy-

zmem — że takiej drugiej czwórki ze świecą nie znajdzie! A kłusują... pi! pi! W kąś siwki Krzycha!

— Toby się jeszcze pokazało! — wtrącił z niedowierzaniem Szalawa.

— O co idzie! Spróbujmy. Słowo się rzekło... trzymam zakład! — oświadczył Kotowicz. — Trzymasz „książę“?

— He?

— Co mam w kieszeni... Dziesięć tysięcy! — zdeklarował, zapalając się, Kotowicz.

Ozdze zaiskrzyły się oczy.

— Trzymasz „książę“? — spytał Szalawy.

Szalawa zaczął się wymawiać:

— Kiedy bo... widzisz tego... Siwosze trochę podchlastane...

— To ja trzymam! — dokończył, widząc, że Szalawa się cofa. — Ja trzymam! I to zaraz!

— Co znów? po nocy! — zaczęto perswadować.

Ale Oźga, draśnięty w miłości własnej, uparł się.

— Czy w nocy, czy we dnie, wszystko jedno! Po szosie jak po stole! Zobaczymy, kto górą!

— Siwki zdrożone — szepnął mu na ucho Bortnicki.

To go jeszcze podnieciło.

— Choć zdrożone, lepsze od niejednych wystanych — wybuchnął. — Jedziemy zaraz. Każ zakładać — zwrócił się do Kotowicza.

— Chcesz koniecznie... Zgoda — odrzekł ten, zapalając się również.

Ruszyli od stołu, a inni za nimi, próbując jeszcze wybić im z głowy niedorzeczny zakład. Ale daremnie! Oźga zaciął się, a Kotowiczowi wstyd było ustąpić.

Niebawem całe towarzystwo znalazło się w stajni i po chwili dwie czwórki, zaprzęgnięte do krakowskich wózków, kłusowały przez boczne uliczki za miasto. Panowie powozili sami. Na wózku Oźgi usadowili się zaproszeni na sędziów Bortnicki z Słotwińskim, Kotowicz wioził wybranych przez się: Bolka Witrzyckiego i Świecianowskiego, a Szalawa, jako superarbitr, jechał konno z tyłu. Prócz Szalawy, wyruszył również wierzchem, wiedziony ciekawością, cały orszak szlachty. Tylko pan Barszczewski, mimo silnych zaproszeń, wymówił się od współudziału i poszedł do numeru, bardzo najnowszym wybrykiem siostrzeńca zmartwiony.

— Szalona pałka! — rozważał. — Gotów jeszcze przetrząść, a tu Żydzi na karku siedzą...

I nie kładąc się spać, z niepokojem oczekiwał rezultatu.

Tymczasem kawalkada jarmarkowiczów, w otoczeniu zwabionej niezwykle po nocy widowiskiem gawiedzi, złożonej z miejskich gapiów i Żydów, wśród których kręcił się Mendel Sofa, wydostawszy się na trakt bity za miasto, przystanąła.

Sędziowie omówili warunki zakładu. Wyścig miał się odbyć na przestrzeni wiorst pięciu, klusem, z tem zastrzeżeniem, że czwórka, która więcej niż trzy razy „zarwie“ w galop, bezwzględnie przegrywa. Gdy obie strony zgodziły się na to, Szalawa, który, Bogiem a prawdą, wolałby był grać w karty, niż tłuc się po nocy,

zrównawszy zaprzęgi, próbował jeszcze cały zakład w żart obrócić, a przynajmniej wysokość stawek obniżyć.

— Dalibyście pokój! dzieciństwo... — przedstawiał.

Bortnicki ze Święcianowskim zaczęli również perswadować, lecz tak Oźga, jak Kotowicz, słuchać nawet o tem nie chcieli.

Obaj rozgorączkowani, pewni swego, stojąc w wózkach, z lejcami krótko w dłoń ujętymi, na wszelkie przedstawienia odpowiadali tylko:

— Nie marudźcie! Konie się niecierpliwią... Zaczynajmy!

Jakoż obie czwórki, choć powstrzymywane wprawna ręką, kręciły się niespokojnie, strzygąc uszami i parsając.

Więc Szalawa, widząc, że już nie nie pomoże, uniósł się w strzemionach, podniósł rękę do góry i zakomenderował:

— Baczość!

A potem w odstępach liczył:

— Raz!... Dwa!... Trzy!...

Ruszyli.

Szarpaneły puszczzone raptem konie, zarzegotały podkowy i wózki potoczyły się szybko, koło przy kole, jakby sprzęgnięte.

Szalawa, z kilku jeszcze jeźdźcami, ewalował tuż, tuż, nawołując niekiedy:

— Ostrożnie! przyma! nie zawadzić!...

Pierwszą wiorstę przejechano równo, prawie łeb w łeb. Powstrzymywali obaj. Konie kładły się na wędzi-

dłach, wózki warczały jak wrzeczona, wprawna ręką prząślniczki w ruch puszczane.

Ale już na drugiej wiorście ognistsze siwki Oźgi zaczęły mijać, prac naprzód. Oźga ściągnął silniej lejcami, powstrzymując, ale widoczne było, że już nie może dać rady. Siwosze, zwłaszcza szwaszłowa klacz, z wielkim „fajerem“, brały na kiel. Czwórka sypała z łopatki...

— Trzymaj! trzymaj! — nawoływał Bortnicki.— Poniosą!

— Nie mogę! Niech się dzieje co chce! Byłe tylko w galop nie wpadły, dojedziemy! — odrzucił Oźga, odychając ciężko.

Puścił. Siwki odsadziły się o kroków kilkanaście, jak z procy!

Co widząc, Kotowicz strzepnął lejcami. Drobniejsze o wiele kasztany wyciągnęły się jak struny, idąc raczej błyskawicznym „skroczem“ niż klusem.

Przestrzeń pomiędzy obu wózkami znów zmaląła. Ale Oźga przodował ciągle. I zdawało się, że niechybnie zwycięży.

Więc galopujący obok Szalawa zaczął mu winiszować:

— Brawo! brawo! Krzychu! A co! nie mówiłem!

Oźga obejrzał się, skinieniem głowy dziękując. A w tej chwili stała się rzecz nieprzewidziana.

Kotowicz świsnął przeraźliwie i lby kasztanów w mgnieniu oka zaczęły równać się najpierw z czwórką Oźgi, a potem wysuwać naprzód.

Oźga chwycił bat, lecz go jeszcze rozwinąć nie zdo-

łał, gdy siwosze, wypadłszy z kłusowego tempa, porwały w galop i jak szalone ruszyły cwałem...

— Bój się Boga! Krzysztof! — krzyknął przerażony Bortnicki, chwytając się siedzenia.

Ale Oźga nic nie słyszał w tej chwili. Pochylny w tył, ostatkiem sił starał się pohamować rozhukane rumaki. Szarpał, piłował wędzidłami, że aż przysiadły chwilowo na zadach... Był to jednak trud daremny. Rozpalona czwórka, powstrzymana na moment, ruszała znów w skokach i lansadach.

Tymczasem kasztany Kotowicza rwały obok, spokojnie, równo kłusując.

Oźgę zdjęła desperacya. Wyteżył się, nadludzkim wysiłkiem ściągnął lejce... Siwki zwolniły. Rozległ się miarowy tętent kłusa. Ale było już za późno. Za wiele czasu stracił na szamotaniu się z rozhukaną czwórką. O kilka kroków dojrzał słup wiorstowy.

Pociemniało mu w oczach...

—Przegrałem! przegrałem! — szeptał rozpaczliwie sam do siebie.

I usiadł, a raczej upadł bezwładnie na siedzenie.

W tej chwili kasztany miały metę i rozbrzmiał radosny okrzyk Kotowicza: „Góramy nasza! góramy!”

Dojeżdżający konno Szalawa, życzący w duchu Oźdze zwycięstwa, walchnął żałośnie.

— Clapsit gloria mundi! — mruknął, osadzając konia w miejscu.

Parę minut zeszło, zanim pohamowano rozbiegane konie.

Oźga pierwszy zeskoczył z wózka. Błady był strasznie, w brózdach na czole lśniły duże krople potu.

Podszedł do zaprzęgu Kotowicza.

— Proszę cię! — rzekł, podając paczkę wydobytych z kieszeni banknotów.

Kotowicz zawahał się.

— Cóż znów! — przemówił. — Jutro rewanz! Odegrasz się.

— Tak! tak! Jutro po dniu da capo — zaczęli wołać Bortnicki i Święcianowski.

— To się wie! to się wie! — krzyczał Szalawa.

Oźga zmarszczył się.

— Proszę cię! bierz! — rzekł krótko, szorstko nieomal.

I nie czekając odpowiedzi, położył paczkę banknotów na siedzeniu i zawrócił do swego zaprzęgu.

— Jedziemy! — zwrócił się do zaniepokojonego Bortnickiego.

Głos Oźgi brzmiał tak jakoś dziwnie, że Bortnicki bez namysłu wskoczył na wózek.

Ruszyli, nie czekając na resztę towarzystwa, cwałem.

— Oszalał! — pomyślał Szalawa i, dosiadłszy wierzchowca, popędził ku miastu.

Pan Barszczewski nie spał, oczekując z niecierpliwością siostrzeńca. Nie spodziewał się wprawdzie przegranej Krzysia, ale, bądź co bądź, obiecywał sobie wypalić mu porządną reprimendę za tak ryzykowny zakład.

Usłyszawszy turkot, wybiegł na próg numeru.

Z twarzy Oźgi wyczytał od razu, co się stało.

Przeraził się niezmiernie.

Ożga, zsiadłszy z wózka, dygotał całym ciałem, poruszał zbielełymi wargami, słowa jednak nie wymawiając. Nogi się pod nim gięły, jakby nie po równym podwórku, lecz po grzązkim trzęsawisku stapał.

Barszczewskiego zdjął żal. Schwycił szybko Krzysia pod ramię i, zaniechawszy ostrych wymówek, wiódł do numeru, po drodze mówiąc dobrotliwym głosem:

— Oj! ty... ty! oj! ty... ty!

Ożga, z utkwionemi w ziemię oczyma, dał się prowadzić jak dziecko. Bortnicki, niemniej zgnębiony, podtrzymywał go z drugiej strony.

Wtem przycwałował Szalawa.

— Przerznięliśmy! przerznięliśmy! — zawołał w liczbie mnogiej, łącząc niejako swój los z Krzysiuwym.

Pan Barszczewski machnął ręką niechętnie.

Chciał Szalawa coś więcej opowiadać. Barszczewski dał mu znak, aby milczał, i, nie prosząc go do siebie, wszedł z Ożgą i Bortnickim do numeru.

Posłanie było przygotowane, więc usadowiono Krzysia na łóżku, on zaś wsparł głowę o poduszki i tylko raz po raz dłonią tarł czoło, a wzdychał.

Barszczewski odciągnął na bok Bortnickiego.

— Zgryzł się strasznie. Najlepiej będzie, jak zaśnie — rzekł.

Bortnicki skinał głową.

— I my zrobimy to samo. Zgasimy światło, to go sen prędzej zmorzy — odrzekł półgłosem.

W miejsce odpowiedzi Barszczewski począł zrzucać wierzchnią odzież.

Bortnicki podszedł do Krzysia, chcąc go namówić,

aby się rozebrał. Ale wydało mu się, że Ożga już śpi, więc wróciwszy na palcach, zgasił zaraz świecę i sam się w ubraniu na kanapie położył, poprzednio szeptem opowiedziawszy Barszczewskiemu ze szczegółami przebieg i wynik gonitwy.

Ale Ożga nie spał i słyszał wszystko. Był tylko tak zgnębiony, tak rozboleły, że poprostu mówić mu się nie chciało.

Bo zresztą wszystko, co mógłby w tej chwili powiedzieć, było wiadomem!... Przegrał lekkomyślnie ostattek funduszu, resztkę pieniędzy, nie własnych, bo posażnych, dla głupiej fanfaronady postawił na kartę spokój, szczęście nie swoje tylko... Teraz, może jutro zaraz, mogą się zjawić pod jego strzechą niewypłaceni wierzyciele, mogą mu przetrząść dom cały, mogą w oczy nieuczciwością zaświecić, mogą bankrutem ogłosić, z dzieiectwa ojców wypędzić... A on na to nie będzie miał żadnej rady, żadnej obrony, żadnego usprawiedliwienia przed nikim, a najmniej przed tą, której opiekę przyrzekał, miłość dozągonną zaprzysiął, która los swój w jego zwierzyła ręce, którą kochał wreszcie, tak kochał, że za jedną łzę, wyciśniętą z jej źrenic, świat rozbiłby na pyły. A teraz ileż łez z jego przyczyny czekać ja może!

I myśl o tem czyniła Ożgę bezwładnym. Więc siedział nieruchomy, odrętwiały, niemy, z piersią pełną bólu i wstydu. To rozjątrzał się, zlorzecząc w duchu Kotowiczowi, Szalawie, samemu sobie, — to kruszał, na przemian obwinał, zaprzysięgając: „Ostatni raz! ostatni raz!“ lub myślą przenosił się do stóp tej uko-

chanej, która go teraz właśnie nowem szczęściem obdarzyć miała, własnego sumienia pytał z rozpaczą: „Co ja jej powiem? co ja powiem, gdy się dowie?...“

I wtedy ból go przejmował jeszcze sroższy, jeszcze większy wstyd oblewał, bo nic, coby jego winę zmniejszało, nie znajdował.

Tak pasował się Oźga z natłokiem smutnych myśli przeszło godzinę, nie ruszając się z miejsca, jakby przykuty do pościeli, na której rozpaloną spierał głowę. Wreszcie samo znużenie przyniosło mu ulgę. Przysnął i półsenny począł szukać w głowie środków ratunku. Rozważał, kombinował, liczył, wynajdując najprzeróżniejsze źródła, z których ostatecznie mógłby zaczerpnąć. Uspokoił się znacznie, przyszedłszy w tych samych rozmyślach do przekonania, że przegrana ostatnio kwota sama przez się również niewieleby mu pomogła. I to mu taką sprawiło ulgę, że rozbudził się weselszym i, wyciągawszy się na łóżku, zaczął teraz zupełnie trzeźwo zastanawiać się nad tem, jak mu właściwie w jego położeniu postąpić należy.

— Juścić bez pieniędzy ani rusz! Teściowi, choćby miał, nie powiem — rozmyślał. — Wziąć od Żydów?... Ba! brać od jednych, splancać drugich... Głupstwo! Wuj Barszczewski dalby... ale sam goły... Chybabym... las... sprzedał!

Czepił się tej myśli, pocieszył się. „Sprzedać las“ wydało mu się jedynym skutecznym środkiem, tak skutecznym, że już o wyszukaniu innych przestał myśleć. Dziwił się nawet potrosze, że sposób tak prosty nie

przyszedł mu od razu do głowy, i żałował, że się tyle czasu i tak bardzo natrapił niepotrzebnie.

Jakoż, uspokoiony zupełnie, obiecywał sobie zaraz wziąć się do interesu, wyszukać odpowiedniego nabywcę i za jednym zamachem skończyć wszelkie kłopoty.

Liczył tak na pewno, że nawet zaczął w przybliżeniu rozdzielać osiągniętą przypuszczalnie za las sprzedany sumę. Teraz wszystko układało mu się dobrze, starczyło na wszystko.

— Nawet się coś na czysto okroi. Podatki z góry zapłacić, a i o gościńcu dla Jadwini pomyśleć trzeba. Jeżeli tylko rzeczywiście dobra, nabędę dla niej tę wierzchówkę od Szmula — planował prawie radosny.

Po tak smutnej do niedawna twarzy przesuwał się teraz uśmiech, siadając na klejących się do snu powiekach.

Nawet przegrany zakład przestał Oźgę boleć.

— Co tam! — tłumaczył sobie. — Kotowiczowi tylko się udało. Daleko jego kasztanom do moich siwków! daleko! Tak... pięć wiorst... to jeszcze! i to dlatego, że moje szelmy gorące... Ale na dalszą metę zobaczymy! libyśmy!

Zasypiał powoli, ukołysany słodko, gdy nagle na brukowanym podwórku zajazdu zatętnił odgłos kopyt końskich i rozległo się głośne wołanie.

Ocknął się Oźga. Głos był mu znajomy. Mrowie go przeszło, zerwał się na równe nogi.

A w tej chwili wpadł do numeru zadyszany stajenny z Kościeszówki.

— Antek! Bój się Boga! co się stało?! — spytał.

— Pa.. pa..ni chora — wyjąknął chłopak.

Ożga schwycił się za głowę, runął we drzwi i biegł do stajni ze straszliwym krzykiem:

— Zaprzęgać! zaprzęgać!

Wybiegli za nim w te pędy rozbudzeni hałasem Bortnicki z Barszczewskim, a dowiedziawszy się, co się stało, zaczęli uspokajać...

Ale Ożga nie słyszał. Zaprzęgał na spółkę ze stan-gretem i szeptał tylko bezładnie:

— Jadwinia! Jadwinia! Po doktora, po doktora! kto w Boga wierzy!

Więc Bortnicki, flegmatyk z natury, zimniej wszystko oceniający, rzekł:

— Jedźże, Krzychu, sam naprzód, a ja doktora przy-wiozę...

I wybiegł na miasto.

Po chwili czwórka siwków, niewypoczętych jeszcze po nocnej gonitwie, mknęła jak szalona ku Koście-szówce.

Od wschodu pociągał wiatr zimny, prawie mroźny. Ale Ożgę rozpacz grzała. Stał w wózku w rozpiętej al-gierce, całym ciałem podany naprzód, smagał biczem dobywające ostatnich sił siwosze i leciał, jak ptak na obronę zagrożonego gniazda.

W kościeszowskim kościółku dzwoniło na Anioł Pański.

VI.

Nadeszły teraz dla Krzysia dni ciężkie, bardzo ciężkie, chwile rozpaczliwej trwogi pełne, zwątpieniem rozdzierające, a tak bolesne, że wobec nich wszystko, co w życiu przeszedł, przecierpiał, mało.

Nawet te straszne godziny, w których po niefortunnym zakładzie pędził lotem ptaka, nawet ten ból, który go wówczas przejmował.

Prawda, że wtedy skończyło się na strachu tylko. Kiedy ledwie żywy wpadł do domu, Jadwinia po zwyczajnem omdleniu przyszła już zupełnie do siebie i czuła się tak dobrze, że pani Prońska z Julką zaczęły się wstydić przedwczesnego alarmu. Przywieziony przez Bortnickiego lekarz również nie znalazł nic niepokojącego, prócz zwykłego w takich okolicznościach osłabienia.

Ale już w ciągu tygodnia pojawiły się groźne objawy. Jadwinę ogarniała chorobliwa senność, a omdlenia przytrafiały się coraz częściej.

Przytem osłabła tak dalece, że się o własnej sile na łóżku podnieść nie mogła.

Czuwający dzień i noc przy chorej Ożga, po naradzie z miejscowym lekarzem, sprowadził rozstawnymi końmi znakomitego specjalistę z Warszawy. Przyjechała poczciwa Jangrotowa pomagać stroskanej matce w pielęgnowaniu Jadwini, dojeżdżał codziennie prawie radca Proński, zaglądał Barszczewski, a wszystkim lzy nie zasychały w oczach.

Sprowadzony doktor znalazł wprawdzie ogólny stan chorej dość pomyślnym, jednakże ogromne wycieńczenie i upadek sił zastraszyły go bardzo. Zaordynował odpowiednie środki wzmacniające, przepisał kąpiele o właściwej temperaturze, nadewszystko zaś zalecił unikać wszelkich wzruszeń i odjechał, przyrzekłszy stawić się na każde wezwanie.

Zrozpaczony Krzys, nie rozbierając się, nie śpiąc, mało jedząc, ciągle na nogach, snuł się jak cień po pełnych smutnej ciszy pokojach dworku. Łamał ręce, rozmawiał sam z sobą, mającąc — i tylko przy łóżku żony, pod jej wzrokiem, tłumił bezgraniczną boleść, siłąc się na uśmiech, pokrywając sztuczną wesołością głęboki smutek.

Siadywał tak godzinami całymi przy jej nogach, zastygły w ucisku rwących uczuć, zapatrzony w przezroczystą, matowo-błądą twarz chorej, nieruchomy, nie zmieniając wyrazu oblicza, aby udanego spokoju nie zatracić.

Ona zaś niekiedy unosiła z wysiłkiem śliczną główkę, i, skrobiąc rąbek kołdry wychudłymi palczętami, pytała cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Mnie lepiej... prawda? Krzychu! Lepiej... Powiedz...

Wtedy było mu najciężej. Cierpiał strasznie. Nie podnosząc oczu, aby w spojrzeniu beznadziejnej troski nie dostrzegła, kładł zbiegłe wargi na jej rękę, pragnąc niejako wyczuć słabe bicie pulsu, i odpowiadał szybko, bez namysłu: „Lepiej, Jadziuchno! lepiej! Tylko się nie męcz! nie mów! Moja ty! moja!“

Sam też nigdy nie zwracał się do niej z pytaniem: jak się czuje? Bo zdawało mu się, że z każdym otwarciem ust ulata z niej jakiś strzęp życia, a najmniejszy ruch szkodzi, boleść sprawia, śmierć przyciąga.

Czasem tylko, gdy wyczerpana zasypiała z półotwartymi oczyma, gdy zmęczone źrenice pokrywała jakaś mgława osłona niemocy, tracił panowanie nad sobą. Pochylony nad bezsilnie opadłą główką Jadwini, drżący, wpijał się wzrokiem w sine żyłki, przez przejrzystą cerę przegładające, szepcąc:

— Płynie!... płynie... Ale jak wolno! Boże! Boże!

I chlipał głośno, na nic już nie zważając. Wtedy musiano go mitygować. Najczęściej czyniła to Jangrotowa, mająca zawsze szwagra na oku, ilekroć się do chorej zakradał. Brała go poczciwa kobiecinka pod ramię i par force wyciągała z pokoju, strofując:

— Kto widział... panie Krzysztofie! kto widział! Chwała Bogu, że biedaczka zasnęła... A pan...

On zaś uśmiechał się smutnie, nie bronił wcale, szedł jak trusia, dopiero za progiem odważając się na odpowiedź.

— Moja pani! moja złota pani! — tłómaczył się zwykle złamanym głosem — albo ja już wiem, co robię?! Albo ja wiem!...

Jakoż mówił prawdę, bo, ciąglem cierpieniem zmęczony, istotnie nie wiedział, co robi.

Niekiedy, wypędzony z tego rajy boleści, kraził z pokoju do pokoju bezmyślnie, co chwila oburącz trąc skronie; najczęściej jednak zachodził do sąsiedniego obok sypialni alkierzyka, gdzie pani Prońska, równie jak on, złamana, znękana, czuwając, najchętniej przepędzała długie godziny na krwawiących macierzyńskie serce rozmyślaniach lub modlitwie. Jeśli zastawał matkę klęczącą przed wizerunkiem Bożej Rodzicielki, przyklękał obok i już nie modlił się, ale bez słów żebrał zmiłowania u stóp Orędowniczki uściśnionych.

Czasami znów przysiadł obok świekry i, nie mówiąc, całował jej ręce i tak tkliwie patrzył w oczy, że pani Prońska, choć sama strawiona smutkiem i niewywczasem, brała go za głowę, całowała w czoło i, pocieszając, prosiła, aby szedł odpocząć. Wychodził posłuszny, lecz po to tylko, aby w innym kącie przysiąść i dumać.

Próbowała go parę razy rozruszać Julka, radca Proński, przyjechawszy, kilkakrotnie pod pozorem przechadzki wyciągał z domu, Barszczewski z Bortnickim za każdą bytnością przedstawiali, aby się nie poddawał zwątpieniu, lecz wszelkie usiłowania nie odnosiły skutku. Ożga zrósł się z cierpieniem, na moment odeń odczepić się nie mógł, karmił się, żywił troską i smutkiem. O czem innym już nie umiał ani mówić, ani myśleć.

Myślał też wciąż, przechodząc od rozpaczki do nadziei, bicząc skołatany umysł zarówno jedną, jak drugą.

Przychodziły mu obecnie do głowy różne, niezbrane przedtem myśli i pojęcia. Czasem budził się w jego duszy bunt jakiś i wtedy mówił sobie: „Jeżeli każdy związek z ukochaną po sercu istotą łączyć się musi zawsze z tak wielkim cierpieniem, lepiej nie kochać i nie boleć“; to znów przy lada pobłysku nadziei, krzepiąc się, powtarzał: „jeśli tylko to nieszczęście wiedzie do szczęścia, to już do takiego, że cierpieć warto! warto!“

Lecz zaraz rozważał, wątpiąc:

— Czy tylko wiedzie?

Na rozmyślaniach takich upływały dni i noce, bez zmiany, bez ulgi, bez jakiegokolwiek wypoczynku.

Zmienił się też do niepoznania. Wysechł, szerniał, osłabł i widocznem było, iż się niebawem z nóg zwali.

Zaczęto się obawiać o jego zdrowie. Radca Proński, najwięcej wogóle okazujący otuchy i najmniej z całego otoczenia upadły na duchu, zastraszone takim stanem zięcia, zasięgnął nawet pewnego razu rady lekarza.

Ten wzruszył ramionami.

— Młody jest... przetrzyma. Ale zdrowie nadszarpię — odrzekł.

I tak mijał dzień za dniem.

Wyssany bólem, wyczerpany niewczasem, Ożga zapadał w jakąś zdrętwiałą obojętność, w jakąś anemię duchową, że już poprostu nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Wreszcie pewnego dnia Jangrotowa spostrzegła

z przestraczem, że Krzyś mówi od rzeczy. Przez gwałt zapakowano go do łóżka. Szamotał się początkowo rozpaczliwie, bronił, bredząc, zrywał, w końcu stracił przytomność. Wywiązała się silna gorączka i obezwładniła go zupełnie.

I może lepiej się stało, bo, jak mu to później... później z rozrzewnieniem wspominała świekra, „byłby tylko przeszkadzał...” — gdyż właśnie podczas jego choroby nadeszła stanowcza, spędzona przez otaczających na modlitwie, chwila.

I przeszła nadszpiekanie szczęśliwie dla matki i tego stworzonka, co, żyć nie zaczawszy, tyle już leż wycisnąć zdołało.

A i potem były jeszcze łzy rzewne, smutku dużo, dużo strachu i niepokoju, ale szczęścia już więcej.

Matka i ojciec na wyścigi przychodzili do zdrowia, a dziadkowie i ciotki rozplýwali się nad różowym „skrzeczkiem!” wniosią! nową Dziuchną! — która jednak dość obojętnie przyjmowała te objawy pieśczoć i podziwu, najczęściej śpiąc smacznie, a niekiedy pierwiosnkami dźwięków domagając się praw swoich.

Ożga szalał z radości.

Kiedy mu pierwszy raz obecna pani Bortnicka, która wytrzymać nie mogła, po dawnemu trzpiotowata Julka zostawszy, udzieliła radosnej „nowiny“, zwlókl się z łóżka, przyodział i, nie zważając na przedstawienia do-ktora, poczłapał do pokoju żony.

Tu nie wiedział, kogo ma najpierw witać. Wreszcie, zamiast czego, zaczął beczeć na cały głos. Padł na

kolana przy łóżku Jadwini zaszlochany, przylgnął twarzą do pościeli i czołgał się wokół łóżka, ryhocząc. Dopiero gdy mu dziecinę prawie pod oczy podsunęto, a małeństwo piszczeć zaczęło, rzucił się najpierw ręce Jadwini całować, a potem nieśmiało dotykał drżącymi wargami różowego ciała... raz... drugi... trzeci, a coraz to szybciej, coraz to namiętniej.

A patrzył tak, jakby nie dowierzał, że to wszystko jego, naprawdę jego.

Nie przeszkadzano mu w tym pierwszym wylewie radości, więc wziął dziecinę z rąk nianki, unióś w górę i począł mówić miękkim, urywanym głosem: „Skarby! skarby! Córuchno! córuchno! Tatuś... tatuś...”

Kiedy zaś Jangrotowa odebrała mu wreszcie dziecko, wrócił znów do żony i, u nóg jej przysiadłszy, ze wzrokiem przepełnionym wdzięcznością i Kochaniem, szeptał:

— Dwoje... teraz... Dwoje! Oj! oj! drodzy moi! jacy drodzy!

A potem, mając ciągle na ustach: „Jadwinia! Córuchna!” brał wszystkich w objęcia z kolei, że aż radca Proński zaczął niby studiować ten wyskok radości zięcia, mówiąc żartobliwie i drwiąco:

— Czego ty skaczesz! czego! Wielkie rzeczy! Córuchna! córuchna! Fuszer jesteś! ot co! Córuchna!

A tak się to staremu podobało, że odtąd zięcia stale „fuszerem” prześladował, ilekroć Krzysia na piastowaniu „skrzeczka”, bo tak małeńkie bobo przewzano, napatkał.

To zaś zdarzało się dość często, gdyż teraz Ożga prawie nie wychodził z pokoju żony, pieszcąc się z córką i mamusią.

Inni też schodzili się tam na pogawędkę. Dopuszczono nawet mężczyzn z chwilą, gdy chora mogła już siadywać w łóżku i rozmawiać bez zmęczenia.

Wtedy to najczęściej radca kompromitował zięcia wobec wszystkich, dogadując:

— Fuszer! fuszer! jesteście i basta!

— Niech tam! niech tam! — odpowiadał Krzys, a Bortnicki, o ile był obecny, nadymał się, obiecując spoglądając w stronę Julki.

A Julka kraśniała... kraśniała, ale udawała, że nie rozumie, i tylko czasem syknęła przez zęby:

— Brzydal!

Bortnicki wybuchał wtedy śmiechem i kończyło się na tem, że pani Prońska wypychała go z pokoju, nie pozwalając wracać, aż się usatkuje.

Spotykało to również radcę i Krzysia nawet, gdy tylko zanadto baraszkować zaczęli.

I tak stopniowo wracało szczęście.

W parę tygodni stan chorej nie budził już żadnych obaw, każda chwila przynosiła polepszenie, a z niem ożywczą pociechą, że wszystko już minęło. Chora zaczęła grymasić, upierać się, że już wstanie, a „skrzeczek“ w samej rzeczy skrzeczał tak głośno, że się po całym dworku rozlegało.

Miał też Krzys niemało jeszcze kłopotu z obojgiem. Jadwinę bawił przestrach męża, więc w miarę,

jak do sił powracała, zachciewało się jej figłów, psot różnych.

Czasami, ni stąd, ni zowąd, gdy byli tylko we dwoje, przymykała nagle oczęta i spoglądała na męża z pod rzęs, szeptała z udanym drżeniem i obawą:

— Krzychu! coś... mi... jest...

Ale zaraz, widząc, że błędnie jak ściana, wznosiła główkę i, zanosząc się od śmiechu, pytała:

— Naprawdę? naprawdę bałeś się o mnie? Widzisz, jak to dobrze, że Bóg łaskaw...

On zaś nachylał się tuż tuż nad nią i, dysząc jeszcze ciężko, odpowiadał:

— Oj! nie strasz! oj! nie strasz! bo i tak... wierzyć się doprawdy nie chce!... Rób zresztą, co chcesz, byleś mi zdrowa była. Moja droga! jedyna, poczeiwa mamusia! I całował bez przerwy.

W duchu zaś cieszył się z tej prostoty, będącej niejako próbą kochania.

Miewał jednak i troski nieudane. Początkowo w grozie, która go otaczała w uścisku straszego niepokoju o zdrowie i życie żony, wszelka inna myśl nie miała i nie mogła mieć doń dostępu. Interesa, długi, wierzy-ciele, Żydzi, świat zresztą cały nie istniał wtedy dla niego. Ale teraz, gdy ten ogrom smutku, żalu, przygnę-bienia minął, gdy czas pozwolił mu już ochłonąć z nawału szarpiących serce wzruszeń, zjawiała się powrotna fala smutnych rozmyślań, powróciła troska o jutro.

Pocieszał się wprawdzie, że ze sprzedaży lasu opędzi wszystko, lecz trwożył się bardzo, aby Żydzi przed-wcześnie, teraz zwłaszcza, atakować nie chcieli.

Na samą myśl o tem truchlał.

— Później! niech się dzieje, co chce! Ale teraz nie daj Boże! Niechby to do Jadwini doszło... We łby bym strzelał, dalibóg! — rozmyślał, unosząc się trwogą i gniewem.

Całe szczęście, że obawy były płonne.

W Kościeszówce nie pokazywał się nikt z wierzycieli.

Tymczasem zaczęto składać wizyty rekonwalescentce, która już po parę godzin siadywała w krześle, nad kołyską Dziuchny. Dziecinę przynoszono umyślnie, prezentowano całej okolicy, a młoda matka rosła, słuchając tych pochwał, tych uniesień nad rozumem, urodą i tyśiącem jeszcze zalet „skrzeczka“.

I patrzyła nieraz tak dumnie, jakby wielką batalię wygrała, zwłaszcza, że vox populi upatrywał w małości wielkie podobieństwo do matki.

Niekiedy znów starała się nibyto obniżyć stopień przyznawanych „skrzeczkowi“ zalet, mówiąc:

— Takie sobie... milutkie...

Czyniła to jednak nie tyle przez skromność, co dla wywołania protestu i dalszej na ten temat dyskusji.

Jakoż spotykała się zawsze z jednozgodnym protestem w formie przeczących wykrzykników: „Ależ, kochana pani!“ lub: „Co też wygadujesz, Jadwiniu! trzeba oczu nie mieć“, poczem następował szczegółowszy jeszcze przegląd zalet cielesnych, a nawet duchowych małej obywatelki świata, z którego, rzecz prosta, córka zawsze wychodziła zwycięsko, z awansem, matka zaś kapitulować musiała.

Bywały też i inne sporne, wielkiej wagi „kwestye“. Przez czas jakiś wybór imienia nie schodził z porządku dziennego, bo choć przy chrzcie z „wody“ Dziuchna nieodwołalnie została Dziuchną, jednakże na „drugie“ stanowcza decyzja jeszcze nie zapadła.

Nawet przy pomocy alfabetycznego spisu Świętych Patronek, pomieszczonego w kalendarzu Ungra, niepodobna się było zgodzić na jedno, tak rozstrzelały się zdania. Nakoniec pani Prońska, czując się w podwójnem prawie, jako babka i przyszła matka chrzestna, przechyliła ostatecznie szalę za Świętą Barbarą, ze względu, że wnuczka w dniu 4-ym grudnia akurat dwa miesiące skończyć miała.

W tymże dniu postanowiono dopełnić „ceremonii“ chrztu świętego.

W pierwszą parę mieli trzymać Dziuchnę-Baśkę dziadkowie, w drugą pan Barszczewski z panią Jangrotową, a że i Julka dopraszała się czynnego udziału w uroczystości, złożono przeto trzecią parę chrzestnych, jednakże bez udziału Bortnickiego, bo Julka, na przekór mężowi, zaprosiła w kumy Frania Chojnackiego.

Oburzył się na to żartem Bortnicki i odgrażał:

— Poczekaj, Julka! poczekaj! Przyjdzie kréska na Matyska. Na drugi raz z Manią Święcianowską się pokumam, a ciebie w domu zostawię. Prawda, Krzychu?

Ale Krzych nad tą „prawdą“ nie zastanawiał się wcale, nie pożądamy teraz nic więcej, jak tylko kochać, kochać to, co już miał... dwie „urody“, dwa szczęścia, dwie Dziuchny!

Wreszcie „obozowisko“, „rada familijna“, otaczająca rekonwalescentkę, zaczęła się rozjeżdżać. Wyjechali Bortniccy, pan Barszczewski, wrócił do siebie radca Proński, została tylko babka z Jangrotową, szyciem wyprawki na „wyrast“ dla chrześniaczki zajęta.

Dlatego na wyrast, że Dziuchna, odkąd się do lepszej kuchni pod postacią Kubiny Stykowej dostała, rosła jak na drożdżach. Już jej nawet w puchowej poduszeczce za ciasno było!

Jadwinia początkowo karmiła sama. Chociaż lekarz i całe otoczenie zresztą byli przeciwni, nie było sposobu odwieść jej od tego. Dopiero gdy sam „skrzeczek“ położył stanowcze veto, krytykując coraz częściej głośnym krzykiem zapasy spiżarniane mamusi, zgodziła się Jadwinia na zmianę, ku wielkiej radości Krzysia i dziadków, którzy zaraz z jej „poświęcenia“ nie omieszkali skorzystać.

A że równocześnie prawie żona Kuby Styka, rozumiejąca po kobiecemu równouprawnienie dworu z chatą, powiła córkę, przeto Oźga wymógł na towarzyszu zabaw dziecinnych podarkiem ładnej dójki, że ten zgodził się na skup tej w swoim rodzaju służebności państwiskowej, zrzekłszy się w imieniu własnej pociechy wszelkich praw do mlecznego serwitutu.

Okazało się, że „układ“ był dla dworu wyjątkowo korzystnym. „Skrzeczek“ mniej odtąd usprawiedliwiał nadane przezwisko, a i Jadwini podział pracy wyszedł na dobre, bo zaraz sił miała więcej i cerę zdrowszą.

Teraz więc, gdy wszelkie obawy minęły, Krzys, czując się swobodniejszym, zaczął się potrochu zajmować

gospodarstwem; chciał również przed chrzcinami zabezpieczyć się od nieproszonych gości, a zwłaszcza od Symchy Rajzmana, którego obawiał się najwięcej, i w tym celu zamierzał jechać do miasta, aby nareszcie choć tymczasowo, do chwili sprzedaży lasu, interesa ułożyć.

Ale odkładał z dnia na dzień, tak mu ruszyć się z domu było niesporo. Ostatecznie dopiero po liście pana Warzyńskiego zdecydował się wyruszyć.

Pan Warzyński, jako opiekun nieletnich bratanków, których suma obciążała Kościeszówkę, sądząc, że Oźga jest teraz przy pieniądzach, w rzeczonym liście przypominał w formie nader grzecznej, że termin wypłaty już minął, nadmieniając jednak, że gwałtu niema, że chętnie poczeka, mając nadzieję, że Krzys — o ile mu to kwadruje — kapitał łącznie z procentami na Nowy Rok zwrócić zechce. Co do kapitału, ten był mu koniecznym, gdyż właśnie chciałby dla Stasia Warzyńskiego, który kończył studia agronomiczne, coś kupić. Ma już nawet majątek upatrzony.

Kiedyindziej byłby się pewnie Oźga struł taką niespodzianką, lecz obecnie było mu prawie wszystko jedno. „Sprzeda las“ — oczyści hypotekę.

Że jednakże sprawa sprzedaży lasu, jako wymagająca większej gotówki, musiała się przewlec czas jakiś, wybrał się więc Oźga dla „wymacania“ interesu do miasteczka. Miał również za jednym zachodem, czy to zbożem, czy w inny sposób, jak się da, uregulować należność Rajzmana, aby przynajmniej do chwili skutecznienia transakcyi leśnej mieć swobodną głowę.

Nie wątpił, że mu to przyjdzie z łatwością.

Tymczasem Rajzman na podziw okazał się nieprzystępnym, nieuwzględniającym. Zboża początkowo wprost kupić nie chciał, żądając wyłącznie gotówki, tej zaś Oźga nie posiadał; później zmiękł, ale zaofiarował tak śmiesznie niską cenę, że przystać na nią było niemożliwe. Przytem zaczął uzalać się na niesłowność Oźgi, a nawet dość wyraźnie grozić, że dłużej cierpliwym być nie może.

Krzyś, z natury impetyk, uniósł się gniewem i, rzuciwszy wierzycielowi na pożegnanie: „To mię skarż, durniu!“ — wrócił z niczem do domu w jak najgorszym humorze.

Tem się tylko pocieszał, że zaraz po chrzcinach Dziuchny wyjedzie do Warszawy, gdzie się niechybnie odpowiednich kupców na las znaleźć spodziewał.

— Tymczasem — myślał — nic mi nie zrobią! A potem trzeba z tem tałajstwem raz skończyć.

I odtąd coraz częściej spoglądał w stronę, w której szumiał las, las zbawczy.



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

71349/1